



Głos ANGLII



TYGODNIOWY PRZEGLĄD SPRAW BRYTYJSKICH

Ok IV

Kraków, 26 marca 1949

Nr. 13 (126)

Od Redakcji

W miarę wielkich postępów odrodziny W. Brytanii znosi się pewne ograniczenia, które konieczne były w okresie wojny. Znoszenie ograniczeń stanowi lepszy dowód powrotu W. Brytanii do zdrowej, rozwijającej się gospodarki, niż suche cyfry tabel statystyków i ekonomistów. W ciągu ostatnich kilku tygodni zniesiono racjonowanie artykułów wełnianych. Ogłoszono następną, że wszelkie wyroby cukierkowe nie będą również podlegały żadnym ograniczeniom.

Najważniejszym posunięciem było jednak wprowadzenie ostatnio zniesienie racjonowania wszelkich materiałów i wyrobów tekstylnych. Po raz pierwszy od 8-miu lat obywatele W. Brytanii mogą w każdym sklepie kupić wszystkie wyroby tekstylne, jakich potrzebują, i na jakie mogą sobie pozwolić.

Minister handlu okazał się bardzo stanowczy w sprawie cen na nieracjonowane materiały tekstylne. Oświadczając, że ścisła kontrola cen będzie utrzymana tak długo, jak będzie to konieczne i dodał, że gdyby ceny wykazywały nieuzasadnioną tendencję zwyżkową, musiałyby stworzyć możliwości „zamrożenia” ich na danym poziomie.

Plan produkcji odzieży i materiałów doskonałej jakości — typu „Utility”, który w czasie wojny okazał się świetnym sposobem użytkowania ograniczonych dostaw surowców, będzie nadal realizowany.

W niektórych działach handlu tekstylnego zwiększy się procent artykułów typu „Utility”, a ceny będą dostosowane do możliwości zarobkowych średniosytuowanych obywateli, którzy stanowią większość społeczeństwa brytyjskiego.

Postanowienie zniesienia racjonowania materiałów tekstylnych zostało powzięte po dokładnym zbawianiu sytuacji, i po upewnieniu się, że nie wpłynie to ujemnie na krajowy handel eksportowy, który nadal uważany jest za najważniejszy czynnik gospodarczy. Nie chodzi przecież o zwiększenie rynku krajowego kosztem rynku eksportowego.

Zupełne zniesienie ograniczeń w przemyśle tekstylnym okazało się możliwe tylko dlatego, iż produkcja osiągnęła obecnie poziom, w którym popyt i podaż doszły do odpowiedniej równowagi. Ograniczenia są bowiem konieczne dopiero, dopóki istnieją braki i są pożądane tylko wtedy, kiedy dostawy nie pokrywają zapotrzebowania. Jest to zasada, którą kieruje się rząd w stopniowym zniesieniu ograniczeń. Ograniczenia odzieżowe można było znieść w każdej chwili wojnie, — jak to podkreślił minister handlu w Izbie Gmin, — gdyby przyjęto niemądrą zasadę stania potrzeb rynku krajowego na pierwszym miejscu, z uszczerbkiem dla kampanii eksportowej.

Zniesienie ograniczeń stanie się powodem zwolnienia 10 tys. pracowników zatrudnionych w administracji. Będą oni mogli przenieść się do bardziej produktywnych dziedzin pracy. Dla kraju, w którym, jak się w W. Brytanii, — nie istnieje problem bezrobocia, jest to faktem bardzo korzystnym.

NAJWIĘKSZE TOWARZYSTWO UBEZPIECZEŃ

Brytyjskie Ministerstwo Ubezpieczeń Społecznych wypłaca obecnie co tydzień blisko milionowi osób zasiłki chorobowe oraz renty przemysłowe.

Podał to ostatnio do wiadomości minister ubezpieczeń społecznych, p. James Griffiths.

W sprawozdaniu swym minister omówił rozwój tego jedyne w swoim rodzaju narodowego systemu świadczeń społecznych, od chwili jego wejścia w życie, w lipcu zeszłego roku.

Ministerstwo Ubezpieczeń Społecznych jest największym na świecie Towarzystwem Ubezpieczeń, na li-

ście którego figuruje 26 milionów osób. Ministerstwo wypłaca emerytury 5 milionom osób. Statystyki wykazują, że dwie trzecie mężczyzn uprawnionych do pobierania emerytur, ponieważ ukończyli 65 rok życia, nie przestało pracować. Pracuje też prawie połowa kobiet sześćdziesięcioletnich, umieszczonych na liście emerytek. Wszyscy ci, którzy nie przestają pracować po osiągnięciu wieku uprawniającego ich do renty starczej, zarabiają sobie na wyższe emerytury.

Przez każdy dodatkowy rok pracy osobnik, uprawniony do pobierania emerytury, powiększa ją o dalsze dwa szylingi tygodniowo, plus dwa szylingi na żonę. A zatem jeśli pra-

cuje on do lat siedemdziesięciu, emerytura jego wzrasta o funt tygodniowo. W wypadku śmierci emeryta, jego żona jest nadal uprawniona do pobierania zwiększonej emerytury.

Ze statystyk wynika, że okres życia po osiągnięciu wieku uprawniającego do emerytury wynosi przeciętnie 12 lat. Kobiety korzystają z emerytur przez przynajmniej 18 lat.

Z pięciu milionów emerytów w Anglii, pobierających swe zasiłki, trzy miliony stanowią mężczyźni po siedemdziesiątce i kobiety mające powyżej 65 lat.

W samym Londynie znajduje się 149 miejscowych urzędów ubezpieczeń, gdzie wypłaca się zasiłki i omawia problemy emerytów. Siedem dalszych urzędów ma zostać otwartych.

NOWY MIĘDZYNARODOWY KODEKS LOTNICZY

1 kwietnia wejdą w życie nowe przepisy dotyczące samolotów wszystkich państw. Tworzą one kodeks dla wielkich transportów powietrznych i oparte są na propozycjach przyjętych przez organizację lotnictwa cywilnego. Projekt ten wyłonił się na konferencji światowego lotnictwa, która odbyła się w 1944 r. Ostatnio opublikowano specjalne zarządzenia wynikające z przepisów zawartych w nowym kodeksie. Zawierają one szereg zmian.

W przyszłości każdy samolot, który ma odbywać długo-lustansowe loty nad morzami, musi móc utrzymać się na wysokości 1500 m, nawet jeśli jeden silnik nie funkcjonuje. Samoloty pasażerskie ważące więcej

niż 11 ton muszą zgodnie z przepisami lotniczymi posiadać w czasie nawigacji drugiego pilota. Wszyscy członkowie załogi muszą prowadzić dziennik nawigacyjny. Według obowiązujących obecnie przepisów, dzienniki takie prowadzą tylko piloci. Wszystkie samoloty odbywające loty w/g rozkładu jazdy będą musiały być zaopatrzone w odpowiednie aparaty radiowe. Kodeks ten zmienia również kwalifikacje wymagane do uzyskania praw pilota. Uczniowie odbywający loty ćwiczebne na własną rękę będą musieli posiadać licencję, której uzyskanie będzie uzależnione od wyniku badania lekarskiego.

JAMES WHITEHEAD

James Whitehead urodził się w Newchurch, Rosendale, w Lancashire, 14 czerwca 1912 r. Miał 10 lat, kiedy zaczął studiować grę na wiolonczeli pod kierunkiem Waltera Huttona, który był wtedy pierwszym wiolonczelistą w Halle Orchestra. Whitehead uczył się u niego przez pięć lat. W tym okresie występował na wielu festiwalach muzycznych, a mając lat piętnaście grał w obecności Sir Hugh Allena, wówczas dyrektora Royal College of Music, który później wyrobił mu stypendium.

W Royal College of Music James Whitehead studiował pod kierunkiem Ivora James'a. Opuściwszy szkołę w 1934 roku wstąpił do London Symphony Orchestra i grywał w wielu zespołach kameralnych. Później przyłączył się do Boyd Neel Orchestra i przed drugą wojną światową występował w ciągu całego szeregu sezo-

W numerze:

PRZYRODNIK W ZACHODNIEJ AFRYCE

NAJNOWSZE ODKRYCIA W DZIEDZINIE PROMIENI KOSMICZNYCH

ARTHUR QUILLER-COUCH — STUDIUM BIOGRAFICZNE

STRASZNE — CUDOWNE

„BORYS GODUNOW”

LEPSZE JUTRO

nów w Glyndebourne jako pierwszy wiolonczelista.

W 1940 roku wraz z Kathleen Long (fortepian) i Edą Kersey (skrzypce) stworzył trio, które uzyskało wielki rozgłos, zanim śmierć Miss Kersey nie rozbiła zespołu. W 1945 roku Whitehead zostaje członkiem trio



Podczas swego pobytu w Krakowie w ubiegły piątek, James Whitehead wykonał z towarzyszeniem krakowskiej orkiestry filharmonii Koncert Wiolonczelowy Elgara. Koncert ten zostanie powtórzony w Warszawie 27 marca i w Łodzi 1 kwietnia. W ubiegły wtorek odbył się w Sopocie recital Whiteheada. Wykonał on sonaty Boccherini'ego, Brahmsa i Arnolda Cooke'a.

Harry'ego Isaacs (Harry Isaacs — fortepian, Leonard Hirsh — skrzypce i James Whitehead)

Gra Jamesa Whiteheada zapewniła mu wysoką pozycję wśród wiolonczelistów angielskich. Posiada on bardzo bogaty repertuar. Występował w Portugalii, Austrii i Holandii, w Nowym Jorku i Waszyngtonie.

Scott Goddard, krytyk muzyczny „News Chronicle”, napisał o jego recitalu sonat na wiolonczelę Beethovena, że są jeszcze skupione głębią, nawet w tak głębokiej i wspólnie należącej muzyce, jak ta. Artysta cały czas wydawał się być świadomym tego. Pod względem techniki jest doskonałym wykonawcą i połączenie techniki z wnikliwością artysty czyni jego grę specjalnie wartą usłyszenia.

Ralph Hill, krytyk muzyczny „Daily Mail” pisał o wykonaniu przez Whiteheada Koncertu Boccherini'ego: „Gdy usłyszało się grę na wiolonczeli o takich wartościach, nasunęła się uwaga, dlaczego wiolonczela jest tak niepopularnym instrumentem w porównaniu do skrzypiec... Nawet Boccherini miewa momenty nieco ciężkie, ale tym razem wcale się one nie uwydatniły”.

Frank Bonavia z „Daily Telegraph” mówi o odegraniu przez Whiteheada Sonaty Brahmsa na wiolonczelę i fortepian: „Była to najbardziej wykończona i inteligentna interpretacja tego utworu, jaką słyszeliśmy, kiedykolwiek”.

Nowy statek



Nowy motorowiec „Port Brisbane” o wyporności 12.540 ton, który będzie kursował między Zjednoczonym Królestwem a Australią, wyruszy wkrótce w swą pierwszą podróż. „Port Brisbane” to jeden z najkosztowniej zbudowanych statków ze względu na swe nowoczesne i wielkie pomieszczenia chłodnicze.

POGLĄDY PRASY BRYTYJSKIEJ

KONFERENCJE W DELHI

TIMES omawiając konferencje cywilnych i wojskowych przedstawicieli Indii i Pakistanu, które odbyły się w ubiegłym tygodniu w Delhi, pisze, że chociaż nie osiągnięto ostatecznego porozumienia, pertraktacje w sprawie Kaszmiru weszły w dalsze stadium realizacji.

Podkreślili rezultaty osiągnięte od czasu wstrzymania działań wojennych na początku tego roku, dziennik pisze co następuje: „Przyszła obecnie kolej na przedstawicieli komisji ONZ, którzy powinni uzgodnić wyniki konferencji odbytych z cywilnymi i wojskowymi przedstawicielami każdego dominium i doprowadzić do zmiany obecnego zawieszenia broni na trwały rozjem.

W toku dyskusji wyszły na jaw znaczne różnice między Indiami a Pakistanem w interpretacji rezolucji, którą przyjęło każde dominium zatwierdzając plan działania komisji. Po omówieniu punktów spornych, **Times** dodaje: „Do komisji ONZ należy interpretacja jej własnej rezolucji, a z chwilą, kiedy komisja ta zapozna się dokładnie z sytuacją na całym terenie Kaszmiru, zadaniem jej będzie wydanie bezstronnych zaleceń w sprawie różnic ujawnionych na konferencji w Delhi”.

Wiele jeszcze można by zrobić drogą porozumienia, ale zbliża się chwila, kiedy komisja będzie musiała obrać własną linię postępowania.

Plebiscyt jest podstawą każdego pokojowego rozwiązania i im prędzej poczyni się odpowiednio do niego przygotowania, łącznie z wyznaczeniem komisarzy plebiscytowego, tym większe będą nadzieje na pomyślne wywiązanie się przez komisję z jej pokojowego zadania”.

ZNIESIENIE KARTEK ODZIEŻOWYCH

DAILY HERALD uważa zniesienie kartek odzieżowych za pomyślaną nowinę i przypomina, że „stanowisko rządu w sprawie wszelkiego rodzaju racjonowania i kontroli zostało sformułowane przez min. Attlee w czerwcu 1945 r.”. Rząd pragnął zapewnić odpowiednią dostawę towarów przeznaczonych dla naszego handlu eksportowego, — bowiem tylko drogą eksportu możemy zarobić pieniądze na niezbędne surowce i żywność, — chciał jednak również zorganizować sprawiedliwy rozdział towarów wyprodukowanych w kraju i pozostałych jako nadwyżka eksportu.

Min. handlu, Harold Wilson, oświadczył w maju zeszłego roku: „Byłbym najszczęśliwszy, gdybym mógł znieść karty odzieżowe”. Obecnie można już zlikwidować racjonowanie, nie nadwężając eksportu. W dalszym ciągu prowadzić się będzie produkcję odzieży użytkowej („Utility”), i nawet się ją powiększyć, kontrola zaś cen będzie utrzymana tak długo, jak to się okaże konieczne dla ochrony interesów krajowego konsumenta.

Byłoby rzeczą łatwą dawno już znieść racjonowanie, gdyby rząd zdecydował się faworyzować zamożniejsze warstwy społeczeństwa i podkopać eksport. Rząd jednak oparł się zdecydowanie atakom propagandy i postanowił znieść system kartek odzieżowych we właściwym czasie. Decyzja ta jest przez wszystkich przychylnie przyjęta.

UPRAWA ORZESZKA ZIEMNEGO

TIMES rozpatrując plan uprawy orzeszka ziemnego pisze, że minister Strachey omawiał ostatnio w Izbie Gmin będącą obecnie w toku rewizji planów przyszłej uprawy. Plan ten ma zostać nieco zmniejszony, co nie wpłynie jednak podobno na ograniczenie produkcji oleju i tłuszczu. Przy planowaniu rozbudowy trzech głównych okręgów uprawy orzeszka należy stosować większą elastyczność. Sprawdzianem będą odąd istotne osiągnięcia, a postęp będzie powolny, lecz przemysłowy. Obszary przeznaczone do karczowania w trzech okręgach Wschodniej Afryki mają zostać zmniejszone. Ta-

ką samą ilość nasion oleistych, jak to pierwotnie planowano, można uzyskać ze zmniejszonych obszarów, — stwierdził minister, — przez stosowanie płodozmianu. Uprawa orzeszka w okręgu Hongwa zostanie prawie dopodobnie ograniczona, a więcej wysiłku poświęci się terenom zachodnim i południowym. Przyjęto za zasadę, że przy rozbudowie południowego obszaru budowa portów, kolei i domów mieszkalnych musi być ukończona, zanim przystąpi się do realizacji ambitnych planów gospodarczych. Pewna doza optymizmu pozwala spodziewać się, że dalszy rozwój warunków ekonomicznych oraz cen światowych może podwoić zarobki tak, jak podwoił trudności. Na ogół reformy projektowane przez ministra Strachey wydają się zdrowe. Realizacja planu musi być prowadzona bardzo ostrożnie i opierać się wyłącznie na praktycznych podstawach, dopóki przyszłość nie zarysuje się wyraźniej.

Należy jeszcze przekonać się, czy gleba będzie odpowiednia dla zwiększonej produkcji orzeszka ziemnego. Zalety okręgu Hongwa, wyrażające się głównie z powodu łatwego dostępu, były zawsze kwestionowane. Obecnie jednak zwiększyło się znacznie zainteresowanie innymi terenami, specjalnie zaś prowincją południową, przy czym mamy przynajmniej pewność, że nie zostaną powtórzone błędy przeszłości. Błędy te polegały na złej organizacji i braku przewidzenia. Zapasy miejscowe zostały uprzędkowane, nowe traktory będą wyprodukowane i przetransportowane. Port i sieć kolejowa są do naszej dyspozycji. Minister żywienia przedstawił płynące stąd korzyści dla krajowców, które wzrosną z chwilą, kiedy projekt zostanie wprowadzony w życie. Wszyscy staną przy ministrze Strachey — kończy **Times** — wyrażając pochwałę za osobiste poświęcenie się i przedsię-

wzięcie Europejczyków pracujących w Afryce, którzy w żadnym wypadku nie powinni być przedmiotem krytyki.

ODKRYCIE W WIEDNIU

Manchester Guardian powtarza za **Badische Zeitung** wiadomość z Wiednia o odkryciu nieznanych dotąd kompozycji Brücknera i Mozarta. Ci dwaj kompozytorzy reprezentują zupełnie różne, choć równie typowe cechy charakteru austriackiego: Mozart subtelność i głębię cywilizacji, w jakiej stopiły się cechy łacińskie, germańskie i słowiańskie, Brückner zaś ociężałą, nieco płytką pobożność okolic Górnej Austrii. Świat uwielbia Mozarta, Austriacy uwielbiają Brücknera. „Uwertura Festiwalowa” Brücknera, napisana w 1876 i opracowana na pełny skład orkiestry, została znaleziona wśród innych dokumentów rodzinnych, pozostawionych pewnemu wiedeńskiemu muzykowi. Jej autentyczność została potwierdzona przez znawców, którzy sądzą, że utwór ten mógł być skomponowany na wiedeńską wystawę światową, przypadającą w owym roku. Obecnie uwertura ma być wykonana pod dyktando dr. Wolkmara Andreasa z ZÜRICHU.

Dziwniejsza jest historia utworu Mozarta. Organista kościoła Narodzenia Najśw. Marii Panny (na Rennweg) znalazł wśród nut kościelnych „Mszę C-dur z solą organowym Wolfganga Mozarta”, który to utwór według wszelkiego prawdopodobieństwa był jego wczesną pracą na orkiestrę smyczkową (w skład której wchodziły pierwsze i drugie skrzypce) dwie trąbki i bębny. Cztery instrumenty dęte zostały, jak się wydaje, dodane później. Wspomniany kościół znany był dawniej jako ko-



(Za zezwoleniem właścicieli Puncha)

ściół sierocińca Waisenhauskirche, dla którego Mozart w grudniu 1768 r. napisał ofertorium, znane nam jako koncert na trąbki K 47, oraz Mszę. Oba te utwory uznano za zaginione. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest to właśnie zaginiona Msza Waisenhaus, którą Mozart osobiście dyrygował przed cesarzem. Jeżeli kogokolwiek dziwi, że partytura ta była tak długo w zapomnieniu, można wyjaśnić, że nikomu nie wydawało się to w tych czasach szczególnie ważne. Ostatecznie kompozytor miał wówczas dopiero 12 lat.

UCHODŹCY ARABSCY

TIMES porusza sprawę uchodźców arabskich. Stwierdza on, że „około 800 tysięcy Arabów mieszkających w Palestynie — to znaczy 2/3 ludności arabskiej — jest obecnie bezdomna, pozbawiona ziemi, pieniędzy i środków do życia. Są to dobrowolni lub przymusowi uchodźcy z różnych części Palestyny. O ile Narody Zjednoczone nie uznają swej odpowiedzialności za tę sytuację, stosując jak najszybciej odpowiednie kroki — którą to odpowiedzialność ogólne zgromadzenie

O. N. Z. przyjęło na siebie w listopadzie 1947 r., kiedy to doradził podział Palestyny bez dostarczenia odpowiednich środków na przeprowadzenie go — wiele tysięcy ludzi będzie miało małe szanse przeżycia. O. N. Z. jak dotąd uważa tę odpowiedzialność raczej w słowach niż w czynach. Apel hr. Bernadotte do 53 krajów wchodzących w skład narodów zjednoczonych nie znalazł według słów jego następcy „żadnego oddźwięku”.

Times stwierdza następnie, że ogólne zgromadzenie zachęcone do czynu przez brytyjską delegację powołało do życia organizację z funduszem zakładowym 32 milionów dolarów, która ma udzielać pomocy aż do sierpnia przyszłego roku. Fundusz ten mały wpłacić rząd poszczególnych krajów, „lecz z obliczanych największych udziałów — W. Brytania 1 milion funtów, Ameryka 16 milionów dolarów i Francja 500 000 franków — jedynie tylko W. Brytania wpłaciła zadeklarowaną sumę. Oprócz tego ogólne zgromadzenie oceniło liczbę uchodźców potrzebujących pomocy o 300 000 mniej, niż ona obecnie wynosi.

KOŚCIÓŁ ANGLIKAŃSKI

REV. H. M. WADDAMS

(Dokończenie)

Dostojnicy kościelni odegrali również znamienne rolę w rozwoju myśli filozoficznej. Biskup George Berkeley (1685—1753) napisał szereg wybitnych dzieł przeciwko materializmowi, a John Stuart Mill przypisuje mu „trzy najważniejsze filozoficzne odkrycia”. Napisał on również kilka traktatów matematycznych. Współ-

szym wśród angielskich przyrodników jest Gilbert White (1720—1793), skromny wiejski proboszcz, który prowadził studia przyrodnicze w swej parafii w Selborne. Inni duchowni, których nazwiska są obecnie niemal w zapomnieniu, odegrali znaczną rolę w rozwoju astronomii. W XIX w. duchowni Kościoła angielskiego znaleźli się w pierwszych szeregach ludzi walczących o lepsze

arcybiskup Canterbury, dr Wiliam Temple (zmarł w 1944 r.).

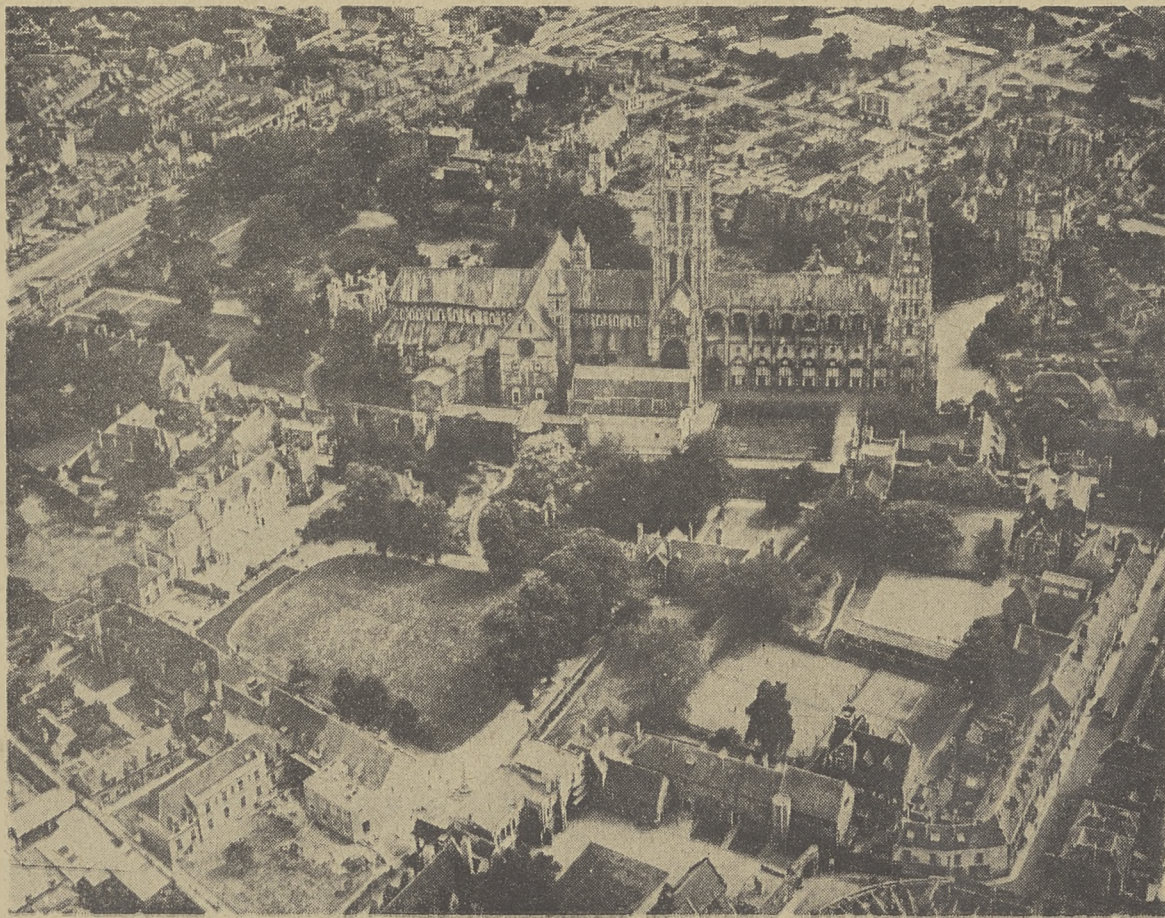
W dziedzinie oświaty Kościół odegrał niezrównaną rolę. Jedynie Kościołowi należy zawdzięczać zorganizowanie i przeprowadzenie powszechnego nauczania ludności. Do dziś dnia jeszcze wiele szkół pozostaje szkołami kościelnymi, chociaż stanowią one tylko jedno z ogniw w ogólnym systemie państwowym.

narodowego, dzięki właśnie wybitnej działalności, jaką przejawia członkowie rodzin duchownych. To co było prawdą w przeszłości jest nią nadal i dziś, a mianowicie: zadziwiająca ilość mężów stanu pochodzi właśnie ze skromnych parafii wiejskich lub miejskich. Jednym przykładem niech tu posłuży marszałek polny lord Montgomery.

Trudno jest zmierzyć wpływ Kościoła w obecnym życiu narodu. Wpływ ten nie idzie bezpośrednio przez wywieranie nacisku na rząd, czy drogą świadomego zorganizowania opinii publicznej, ale przejawia się w bardziej subtelny sposób. Kościół angielski jest integralną częścią życia angielskiego i jako taki odgrywa swoją rolę w urabianiu opinii narodu. Członkowie Kościoła starają się propagować jego idee, wygłaszając od czasu do czasu publiczne przemówienia w Izbie Lordów lub gdzie indziej, lecz istotna siła Kościoła leży nie w jego głosie, ale w wartościach moralnych.

Należy podkreślić, że Kościół angielski nie ogranicza się tylko do Anglii. Jest to centrum Wyznania Anglikańskiego, stowarzyszenia Kościołów o podobnej tradycji. Wiele uważają arcybiskupa Canterbury za swego zwierzchnika duchownego (choć jest on tylko „primus inter pares” i nie ma żadnej władzy nad innymi kościołami). O zasięgu wspólnoty świadczy fakt, że na konferencji biskupów w 1948 r. w Lambeth Conference obecnych było 328 biskupów ze wszystkich części świata. Między innymi przybyli biskupi z Japonii, Chin, Afryki, S. A. i prawie każdego zakątka kościelnego świata.

Kościół angielski i Anglikański Wspólnota stawiają sobie za nadrzędną zasadę zjednoczenie Chrześcijaństwa. Ważnym czynnikiem w tym kierunku jest zbliżenie do prawdy sławnych kościołów wschodnich. Przylatnie z nimi stosunki Kościoła angielskiego stawały się coraz bliższe w ostatnich 50 czy 100 latach, a wielu ewangelików żyjących gorąco zupełnego zjednoczenia, które kościoły ortodoksyjne wydają specjalne odezwy, podlegające zbliżeniu, a Kościół angielski korzysta z każdej sposobności, by zbliżyć wzajemne zrozumienie i miłość między braterskimi kościołami chrześcijańskimi.



Widziana z lotu ptaka katedra Canterbury, Canterbury School, oraz boiska sportowe na pierwszym planie.

czesny mu, biskup Joseph Butler (1692—1752) był również sławny przez swą teorię prawdopodobieństwa i zajmował czołowe stanowisko w filozofii współczesnej.

Wkład duchowieństwa w dziedzinę nauk przyrodniczych jest również bardzo duży. Może najslawniej-

warunki dla klas robotniczych. Występowali oni w obronie swych upośledzonych braci wobec zadowolonego z siebie i bogatego społeczeństwa, dając tym piękne świadectwo swej społecznej postawy.

Za naszych czasów wielkim poważaniem w całym kraju cieszył się

Oceniając wartość usług oddanych przez duchowieństwo społeczeństwu angielskiemu nie należy pomijać olbrzymiego znaczenia, jakie miały w publicznym życiu rodziny duchownych, a zwłaszcza ich synowie. Zniesienie celibatu miało bardzo pozytywne rezultaty dla naszego życia

WYBORY UZUPEŁNIAJĄCE W HAMMERSMITH

ANTHONY FELL

YOUR CONSERVATIVE CANDIDATE



Calling SOUTH HAMMERSMITH

POLLING DAY THURSDAY 24th FEBRUARY

Ulotka przedwyborcza (konserwatystów)

Oto polityka konserwatystów!

Jeśli zaszczycicie mnie wyborem na waszego posła do Parlamentu, będę zawsze starał się czynić wszystko co w mojej mocy, by strzec interesów całej ludności Hammersmith, bez względu na jej przynależność partyjną, czy zapatrywania. Będę organizował publiczne wiecze, aby informować was o pracy Parlamentu i o mojej tam działalności. Zawsze będę gotowy przedyskutować z wami wasze problemy osobiste.

Zobowiązuję się w dalszym ciągu zwalczać nieugięcie te światopoglądy, które obce są naszemu charakterowi narodowemu i pracować dla stałej i zjednoczonej Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i Imperium — które jedyną są w stanie zapewnić światu pokój, a wam przyszły dobrobyt.

Wielu ludzi nie zdaje sobie w pełni sprawy ze znaczenia, jakie ma popieranie siły i jednoci brytyjskiej Commonwealth. Oto co ona dla was przedstawia:

1. Więcej żywności w waszych spiżarniach.
2. Więcej materiału budowlanego i innych surowców do budowy większej ilości domów.
3. Zwiększony handel zapewniający pełne zatrudnienie.
4. Jedyna droga do osiągnięcia pokoju na świecie.

Socjaliści zawarli umowy handlowe w Hawanie i Genewie, które, jeśli zostaną wprowadzone w życie, obalą imperialne preferencje celne, zadając krytyczny cios jednoci imperialnej. Co za tragiczny błąd!

My, konserwatyści, zwrócimy pilną uwagę na odbudowę handlu w granicach brytyjskiej Commonwealth. Będziemy prowadzić politykę racjonalnego rozwoju kolonii, która jeśli chodzi o żywność i surowce, uniezależni nas od innych krajów.

Zdaniem autoritetów medycznych, każdemu zatrudnionemu przy pracy fizycznej, potrzeba dziennie mniej więcej 4.000 do 4.000 kalorii, by utrzymać się w odpowiednim stanie zdrowia. W 1943 r. otrzymywaliśmy jedynie 2.800 kalorii dziennie.

Nie sądzę, aby ludność Hammersmith interesowała się zbyt kaboletami. Mam przekonanie, że chcąc żyć po prostu ujrzyć na swoim stole więcej mięsa, boczku, jaj i tłu-

żak torysi polepszą sytuację żywnościową?

Pierwszą rzeczą do zrobienia jest wybór odpowiedniego ministra, któremu powierzy się tę sprawę. Po drugie należy wstrzymać wykupywanie żywności przez rząd, który czyni z niej atut polityczny. Prywatna inicjatywa dostarczała nam przed wojną obfitej, dobrej i taniej żywności.

ności, ponieważ może ona działać szybko i kupować w odpowiednim czasie i miejscu. Pozwólmy jej zająć się tym znowu.

Zajmijmy się następnie Imperium Brytyjskim. Jeśli chodzi o nasze dostawy wołowyń, czy nie byłoby lepiej polegać raczej na Australii i Kanadzie, niż na Argentynie? Droga współpracy z dominiami przynamą wkrótce jaja, bekony, wołowinę i tłuszcze, których tak bardzo potrzebujemy.

Należy zwiększyć produkcję żywności w W. Brytanii. Brytyjskim rolnikom musi się dostarczyć narzędzi pracy. Muszą oni mieć pierwszeństwo, jeśli chodzi o maszyny rolnicze. Muszą mieć więcej karmii dla swych świń i drobiu. Więcej domów należy zbudować dla robotników rolnych, aby zachęcić ludzi do pracy na roli. Polityka ta jest niezwykle ważna.

Sytuacja mieszkaniowa w Hammersmith jest w opłakanym stanie. Pomimo obietnic Labour Party mieszkania oddane do użytku po 1945 r. oraz nowe, będące w projekcie zaspokoły zapotrzebowanie 1/10 z 6.900 rodzin zamieszczonych na liście zgłoszeń rady miejskiej. Przy obecnym tempie pracy upływie 70 lat zanim ci, którzy teraz znajdują się na liście, dostaną nowe mieszkania.

Jedynym sposobem rozwiązania tego tragicznego problemu jest zorganizowanie budownictwa na wielką skalę. Musimy w tym celu wykorzystać w pełni przemysł i dopuścić prywatne firmy budowlane, oraz samorządy do wzięcia udziału w tej akcji.

Koszta budowlane muszą być zmniejszone przez uwolnienie akcji budowlanej od ciężaru biurokracji rządowej i przez zapewnienie robotników, że szybka produkcja nie pociągnie za sobą bezrobocia. Nowe mieszkania przynajmniej trzeba na podstawie realnych potrzeb. Wysokość komornego musi pozostać pod kontrolą, dopóki trwają trudności mieszkaniowe. Nie wolno nam marnować materiału i pracy rąk ludzkich na wznoszenie nowych budynków biurowych dla tłumów personelu unarodowionych gałęzi przemysłu, podczas kiedy ludność potrzebuje domów.

Rząd Labour Party wzywa do „coraz większej produkcji”, ale nie daje ludności w zamian za cięższą pracę. Konserwatyści dadzą istotne wynagrodzenia za dodatkową pracę. Zrewidujemy system potrąceń tak, aby zarobki były mniej obciążone podatkami. Rozpowszechnimy system lepszej płacy za lepszą pracę. Będziemy popierać udział w zyskach i współpartnerstwo w całym przemyśle. Naszym celem jest ucłowieczenie, a nie unarodowienie.

Wybory uzupełniające w South Hammersmith były 48 z kolei od czasu wyborów powszechnych w r. 1945. Zwyciężył kandydat Partii Pracy. Partia Pracy utrzymała więc wszystkie mandaty zdobyte w 1945 r. Konserwatyści utrzymali 12 mandatów uzyskanych w wyborach powszechnych, oraz zdobyli dwa nowe od Niezależnych i jeden od Niezależnej Partii Pracy. Uniiści z Ulster i Niezależna Partia Pracy utrzymali po jednym mandacie.

Wakans w South Hammersmith otworzył się po śmierci posła labourystowskiego, Bill Adamsa, który został wybrany w r. 1945. Wynik głosowania w tym okręgu przedstawiał się wówczas następująco:

Adams (Partia Pracy) — 12502

Cooke (Konserwatyści) — 9044

Większość uzyskano więc ilością 3458 głosów.

W poprzednich wyborach powszechnych w roku 1935 mandat z South Hammersmith zdobył konserwatysta, większością przeszło 6.000 głosów. Liczba wyborców zwiększyła się znacznie. W 1945 r. wynosiła 32.000 osób, zaś w 1949 r. 41.000.

Większość mieszkańców Hammersmith, — położonego nad brzegiem rzeki przedmieścia Londynu, to element robotniczy lub ludzie należący do tzw. klas średnich. Jest to okręg „przeciętny”, w którym znaleźć można małe domki robotnicze i wielkie wiktoriańskie gmachy, obecnie zamienione na kamienice czynszowe. Stoi tu kilka pięknych, nowych budynków, wystawionych przez zarząd miejski i nieliczne, kosztowne przedwojenne bloki. W pewnym sensie Hammersmith stanowi przekrój społeczeństwa brytyjskiego, dlatego też wielu przywódców politycznych uważa rezultaty wyborów w tym okręgu za wskaźnik sytuacji ogólnokrajowej.

Obaj kandydaci byli młodymi ludźmi, obaj mieli po 33 lata, obaj niedawno założyli rodziny. Anthony Fell — wybrany przez konserwatystów, to inżynier, który w czasie wojny pracował w fabryce amunicji i służył w Korpusie Obrony Kraju (Home Guard). Zwycięski kandydat labourystów — Tom Williams, jest Walijszczykiem, synem górnik. Jego ojciec był inwalidą wojny 1914—18 i dlatego nie pracował. Williams-junior dzięki stypendium dostał się na uniwersytet w Oxfordzie, gdzie zatrudniony jest obecnie jako wychowawca. W czasie wojny służył w RAF-ie jako kapelan (posiada bowiem święcenia ministra baptystów).

Jakież to poglądy dzieliły tych młodych ludzi? Jaki program przedstawili oni i ich poplecznicy wyborcom? W W. Brytanii program polityczny kandydata zawarty jest w jego ulotkach wyborczych. Ulotki wszystkich kandydatów dostarcza poczta bezpłatnie wszystkim wyborcom. Dalszą literaturę rozprowadzają poszczególne partie w ramach własnych kampanii przedwyborczych.

Obok podajemy teksty ulotek, zawierających programy polityczne obu kandydatów. Programy te stały się w okresie przedwyborczym tematem licznych dyskusji, prowadzonych na zebraniach, w domach prywatnych itp.

W głosowaniu w Hammersmith wzięło udział 70% uprawnionych. Rezultaty były następujące:

Williams (Labour Party) — 15223
Fell (Konserwatyści) — 13610

Przeszedł więc Williams większością 1.613 głosów.

Wiem o trudnych warunkach, w jakich żyje wielu starych ludzi w Hammersmith z powodu wysokich kosztów utrzymania, które tak się podniosły pod rządami Labour Party. Zmniejszając opodatkowanie tak bezpośrednie, jak pośrednie zapewnimy zwiększenie siły nabywczej ich 26 sztyngów tygodniowo.

Powiedzą wam, że konserwatyści w ramach kampanii oszczędnościowej chcą ograniczyć usługi społeczne. Jest to rozmyślane kłamstwo, pro-

What WILLIAMS stands for



-is what LABOUR stands for

BRITAIN NEEDS YOUR VOTE ON FEBRUARY 24

Ulotka przedwyborcza (Labour Party)

Drodzy przyjaciele!

Wzywam was do głosowania na mnie w dodatkowych wyborach w South Hammersmith dnia 24 lutego. Czynie to z podwójnym uczuciem: żalu i dumy — żalu, z powodu śmierci waszego posła z ramienia Labour Party, p. W. T. Adamsa, który tak wiernie was reprezentował, oraz dumy z wykonanej przez niego i jego kolegów w Parlamencie pracy, której celem było przywrócenie do równowagi wyczerpanej wojną W. Brytanii. Proszę was, byście mnie wystali do Westminster, abym mógł pomóc w wykonywaniu tej pracy w dalszym ciągu.

Duża winna rozpieścić serca nas wszystkich z powodu odrodzenia gospodarczego, które kraj nasz osiągnął od czasu, kiedy w chwili zakończenia wojny, staliśmy u progu bankructwa. W. Brytanii jest jedynym na świecie państwem, które kroczy ku pełnemu odrodzeniu w sposób nienaganny. Racjonowanie i ograniczenia zostały usunięte z chwilą kiedy mogło to być zrobione bez niesprawiedliwości i bez wywołania zamieszania.

Dzięki temu, jeśli chodzi o odbudowę, W. Brytanii wyprzedziła wszystkie inne państwa, które dotkliwie uciarpiły od zniszczeń wojennych.

Znosiśmy różnego rodzaju niedostatki, ale były one o wiele mniejsze, niż po pierwszej wojnie światowej. Ożywił nas duch patriotycznej celowości i wola czynu. Społeczeństwo nasze może być dumne z tego, czego dokonało pod przewodnictwem Labour Party. Po raz pierwszy ludność nasza jest w czasach pokojowych w pełni zatrudniona — osiągnęliśmy najwyższą w naszej historii normę produkcji przemysłowej. Do tego rodzaju rezultatów nie dochodzi zastraszony, przynębił i zbalacony społeczeństwo, za jakie torysi chcą was uważać.

Wszyscy przyłożyliśmy rękę do tego narodowego osiągnięcia i wszyscy mamy prawo do należnego za to uznania. Słyszeliśmy też już słowa najwyższej pochwały. Amerykański mąż stanu, Hoffman, który stoi na czele Planu Odbudowy Europy mówił o „naszej pełnej zapału i skutecznej walce będącej przedmiotem podziwu całego świata”.

Przeciwstawcie to rozhoworowi, który podnosi torysi na temat „dlawiącej kontroli”, „bezdusznej biurokracji” itp.

Od r. 1945 poczyniły W. Brytanii robi wciąć inwestycje na przyszłość. Przemysł nasz został odbudowany. Finansową stabilizację osiągnęło dzięki samoparciu naszego społeczeństwa. Na odcinku przemysłu kluczowego wzrosła produkcja. Nasz rozległy system bezpłatnej oświaty rozwinął się, zwłaszcza w dziedzinie szkolnictwa technicznego. Nasze niemowlęta i dzieci są najzdrowsze na świecie. Wszystko to są cenne inwestycje, które dają doskonałe gwarancje na przyszłość.

Stopniowo zbieramy już owoce tej pracy. A w najbliższej przyszłości dzięki naszej polityce „sprawiedliwych udziałów” będziemy mieć w kraju młodzież, która zdaniem członka francuskiej Akademii Medycyny, prof. Bonnet'a, „fizycznie i umysłowo przewyższy swe pokolenie we wszystkich krajach Europy”.

Równocześnie z oparciem naszej przyszłości na mocnych podstawach gospodarczych, rząd Partii Pracy coraz energiczniej przeprowadza akcję niesienia ulgi nieszczęśliwym. W ciągu trzech i pół lat Partia Pracy uczyniła więcej dla tego rodzaju osób żyjących w Hammersmith, niż zrobiono dla nich w poprzednim trzydziestolecu.

Wśród wielkich reform, które zostały przeprowadzone, ja osobiście na pierwszym miejscu stawiam nową Narodową Służbę Zdrowia, która każdemu udostępni pełną i odpowiednią opiekę lekarską, z jakiej uprzednio korzystali tylko nieliczni uprzywilejowani.

Rząd obecny jest najlepszym ze wszystkich, jakie mieliśmy kiedykolwiek. Okazał się on wierny zobowiązaniu, które wobec was w r. 1945 zaciągnął. Sprawiedliwszy i mocniejszy ustrój społeczny zaczyna się u nas kształtować. Ale wszystko to może być utracone, jeżeli wrócimy do samolubnej doktryny, głoszącej hasło „każdy dla siebie”, jeżeli wrócą do władzy torysi.

Wzywam was do złożenia dowodu waszej wiary w Partię Pracy, waszej dumy z osiągnięć ojczyzny i waszej zdecydowanej woli wytrwania przy obranym kierunku przez oddanie mi waszych głosów.

Szczerze oddany Tom Williams

sobu, w jaki rząd Labour Party wprowadzał w życie tę ustawę. Chciałbym, aby klasy były mniej liczne, aby było więcej podręczników szkolnych, aby szybciej wyremontowano budynki. Wszystko to jest niezmiernie nagłe. Wierzę również w konieczność oparcia wychowania na moralnej i religijnej podstawie.

Jeśli wybieriecie mnie na waszego posła do Parlamentu, nie zawiodę pokładanych we mnie nadziei.

Anthony Fell

G. S. CANSDALE

PRZYRODNIK W AFRYCE ZACHODNIEJ

LUDZIE, którzy nigdy nie byli w puszczy Zachodniej Afryki, często wyobrażają sobie tę obszar jako bagniste przeszerzenie, gdzie pełno jest moskitów, gdzie rośnie od węzów i krokodyli — a drzewa „ohrośnięte” są niedłgie małpami.

Istotnie można spotkać w Zachodniej Afryce wiele takich bagna, lecz większość kraju jest sucha, często nawet pagórkowata i skalista. Są tam i ogromne ilości moskitów, lecz w większości okrzewów miejskich występują szkodliwe te niebezpieczne owady. Żyją w tamtejszych lasach rzeczywiście różne gatunki małp i węzów, nie są jednak dość liczne aby zwykły turysta zwiedzający Afrykę, mógł zobaczyć choć jedną sztukę każdego dnia.

Mimo to Złote Wybrzeże to wspaniały teren łowów dla przyrodnika. Największą trudnością w tej dziedzinie stanowi problem, skąd najlepiej zacząć takie przyrodnicze polowanie. Żyje tu przecież 150 gatunków różnych gadów i płazów, a więc węży, jaszczurek, krokodyli i żółwi; przeszło 150 rodzajów ssaków, ogromna masa ptaków, tysiące gatunków owadów i innych małych stworzonek.

Gdziekolwiek się udać, pełno tu okazów oczekujących na zbieracza, okazów dziwnych i wspaniałych, często nawet nieznanych jeszcze nauce. Oczywiście, są ludzie, którzy lubią zajmować się studiowaniem różnych gatunków zwierząt, inni znowu badaniem innych grup. Otrzymywałem nieraz od moich przyjaciół-zbieraczy listy, w których prosili, abym posyłał im różne dziwne rzeczy, jak robaki, ślimaki, a nawet kleszcze pasyżujące na nietoperzach, czy też węzów. Jako chłopiec głównie interesowałem się ptakami. Kiedy przybyłem jednak na Złote Wybrzeże, zacząłem się zajmować małymi ssakami, które dotychczas mało były zbierane. W ostatnich kilku latach studiowałem węże — też bardzo zaniedbane przez badaczy.

Jako leśnik, miałem świetne okazje do kolekcjonowania interesujących mnie okazów. Stykałem się bowiem w czasie swej codziennej pracy z rolnikami, myśliwymi i rybakami, a więc ludźmi, którzy często bywają pierwszorzędnymi przyrodnikami. Potrafią oni nazwać każde prawie, najmniejsze nawet stworzonko, jeżeli jest ono dla nich ważne. Wiedzą zawsze, gdzie żyją różne zwierzęta, gdzie zwykły one składać jaja, lub umieszczać swe potomstwo. Ludzie ci mają nawet pewne pojęcie o tym, czym żywią się zwierzęta. W tej dziedzinie jednak wiedza ich ma ogółem częściej zawodzi.

PRZEPRAĆOWANIE NAZW LOKALNYCH

Jednym z moich pierwszych zadań było przeprowadzenie tych lokalnych nazw, o których wyżej wspomniałem. Jest to żmudna robota. Można ją wykonywać tylko powoli i stopniowo, chodzi bowiem o to, aby każdy okaz o tubylczej nazwie sklasyfikować według nazw naukowych.

Na Złotym Wybrzeżu, jak i w wielu innych krajach afrykańskich, istnieje szereg języków i dialektów, jednakże większość tubylców włada narzeczem Twi. Stopniowo sporządziliśmy coś w rodzaju katalogu nazw, obejmujących większość waż-

niejszych zwierząt i około 20 dialektów. Praca ta jednak daleka jest jeszcze od ukończenia. Ta lista miejscowych nazw znacznie uprościła nasze prace kolekcjonerskie, każdy może bowiem obecnie pytać okolicznych rolników nie o jakieś tam zwierzę, ale o zwierzę ściśle określone. Oto np. w okręgu, który ostatnio studiowałem, napotkaliśmy aż osiem rodzajów wiewiórek. Każdy rodzaj ma swą własną nazwę w języku Twi. Pięć gatunków tych wiewiórek żyło w pobliżu mej stacji doświadczalnej. Gatunek szósty mieszkał na szczytach drzew w głębi lasu i chociaż był dość rozpowszechniony, trudno było uchwycić jakiś okaz. Dwa inne gatunki należą do niezwykle rzadkich. Ich okazów dostarczyli mi właśnie tubylcy, gdyż potrafili według miejscowych nazw dokładnie określić o co mi chodzi.



Piękny okaz pytona o długości 3.5 m.

ZOO I MUZEUM

Nasza praca kolekcjonerska rozpadła się na dwa rodzaje: wszystko co udało nam się złapać w stanie żywym, stanowiło potencjalny materiał dla Zoo. Robiliśmy wszystko co możliwe, aby ośwoić pochwycone zwierzęta. Niektóre gatunki jak np. interesujące, łuskowate mrówkojady i wiele innych owadożernych ptaków, nie dawały się ośwoić. Takie okazy wypuszczaliśmy natychmiast na wolność, jeżeli naturalnie nie były one zranione.

Bywało zresztą i tak, — niektóre zwierzęta ginęły, a my preparowaliśmy wszystko, co tylko nadawało się do muzeum przyrodniczego, a więc i zabite okazy dostarczane przez miejscowych myśliwych.

Jeżeli miałem czas sam, oprowadzałem zwierzęta na miejsce. Wyćwiczyłem też w tej sztuce dwóch pomocników, którzy z czasem nabyli wielkiej wprawy.

Gdy okaz rozkłada się na stole — szuka się najpierw pasorzytów, takich jak pchły, czy kleszcze, gdyż stanowią one mogący ważny materiał do badań naukowych nad problemami

zdrówia. Do skóry przyczepia się karteczkę z wypisanym kolejnym numerem, wagą i innymi danymi otrzymanymi z pomiarów. Jeżeli okaz wydaje się rzadki, lub jest pierwszym z dotychczas przez nas badanych, opisuje się go dokładnie i wykonuje się szczegółowe rysunki. Następnie ściąga się skórę, stosując do jej konserwacji jakiś środek ochronny, jak np. boraks. Czaszkę oczyszczają się również, suszy i wypisuje na niej ten sam numer co na karteczce przyczepionej do skóry. Teraz dopiero mamy to co nazywa się zwyczajnym okazem muzealnym. Nie wyrzuca się nawet wnętrzności zwierzęcia. Poszczególne narządy zwierzęcia umieszczane w alkoholu czy formalinie mogą się przydać przy badaniach medycznych. Można także pobrać próbki krwi. W czasie następnych badań na żółtą febrę, gromadziłyśmy, pamiętam,

próbki krwi różnych małych — okazały się one bardzo cennym materiałem. Pozostałych resztek wnętrzności używa się do karmienia hodowanych przez Stację sokołów lub sów.

Z płazami i gadami postępowanie jest znacznie prostsze. Konserwuje się je zwykle w całości w odpowiednim płynie. Przedtem robi się także pomiar okazu i waży się go. Dane wypisuje się, podobnie jak to już omówiliśmy, na etykietach opatrzonych datą, nazwą miejscowości itd.

Oto jest więc materiał, którym posługuje się w swej pracy naukowiec w muzeum przyrody. Uczony ten właśnie nadaje zwierzętom odpowiednią nazwę porównując je z innymi eksponatami muzeum. Jeżeli okaz jest zupełnie jeszcze nieznanym, komponuje się dla niego nazwę, biorąc przy tym często pod uwagę nazwisko zbieracza, oraz miejsce, gdzie zwierzę zostało znalezione.

Wielką emocją dla przyrodników jest odkrywanie nieznanego gatunku zwierząt. W ciągu ostatnich dwóch lat moi pomocnicy i ja mieliśmy szczęście zdobyć aż cztery okazy. Było to wynikiem ciężkiej pracy zarówno jak i szczęścia. Skoncentrowaliśmy się bowiem na wyszukiwaniu małych zwierzątek. Wypatrywaliśmy sobie oczy bez końca. Zdobyliśmy trzy nietoperze, oraz piękną, karłowatą latającą wiewiórkę. Była ona wielkości małej myszy. Między przednimi a tylnymi łapkami miała futrzane błony, które mogła rozpościerać jak skrzydła. Przy ich to pomocy wiewiórki takie przelatują z drzewa na drzewo. Gdy zobaczyłem wiewiórkę po raz pierwszy w czasie lotu, myślałem, że jest to liść lecący z wiatrem. Dopiero, gdy drugi taki „liść” wylądował na sąsiednim drzewie i sprawnie wdrapał się na nie, — zorientowałem się, czym jest on naprawdę. Odkrycie to okazało się wielką niespodzianką, gdyż tych uroczych, małych stworzonek nie spotykano dotychczas w ogóle na obszarach leżących na zachód od Kamerunu w zasięgu 960 km.

PRZEWÓZENIE OKAZÓW DLA ZOO

Moja praca dla Zoo przedstawiała się nieco odmienne. Często łatwo było chwycić zwierzęta i ptaki właśnie poszukiwane. Karmienie też nie nastręczało wielkich trudności, ponieważ pogoda była zawsze doskonała i



Młoda antylopa „Bush buck”.

mogliśmy z powodzeniem założyć plantacje drzew, których owoce stanowią główny pokarm szeregu gatunków zwierząt. Najtrudniej przedstawiała się sprawa odtransportowania okazów do londyńskiego ogrodu zoologicznego. Ptaki i zwierzęta wymagają wielkiej troskliwości podczas dwutygodniowej podróży: trzeba je często karmić i czyścić. Jedynie w okresie między kwietniem a wrześniem można bezpiecznie przewozić tropikalne okazy do Europy czy Północy Ameryki. W celu przewiezienia zwierząt musi się wykonać dla nich odpowiednie skrzynie i przegrody, ale i dziś jeszcze nawet trudno jest znaleźć statek, który chciałby przetransportować ładunek składający się z ptaków, zwierząt, czy też gadów i płazów. Najłatwiej stosunkowo przedstawić się sprawa przewożenia właśnie węży i innych płazów, czy też gadów. Potrzeby ich są bardzo małe. Są to bowiem stworzenia zimnokrwiste, żyjące w temperaturze powietrza. Nie tracą energii na utrzymanie wysokiej temperatury ciała, dlatego też mogą długo obejść się bez pożywienia.

Zanotowaliśmy szereg wypadków, kiedy pytony żyły w niewoli przez prawie 2 lata przyjmując tylko wodę, mimo, iż dawano im odpowiedni pokarm.



Uwolnienie afrykańskiego pytona z siatek.

WĘŻE

Większość płazów z wyjątkiem okazów bardzo dużych wysyła się z zach. Afryki do Europy drogą powietrzną. Podróż taka trwa trzy dni, tak że stworzeń tych nie trzeba wcale karmić podczas drogi. Każdy okaz umieszczony jest w osobnym, silnym worze, a około 12 takich worów rozmieszcza się po silnym zwilżeniu w poszczególnych przedziałach specjalnej skrzyni z dykty. Jeżeli skrzynię trzyma się w umiarkowanej temperaturze — zdala od silnego gorąca, czy dotkliwego zimna, wszystkie prawie stworzenia wychodzą cało z podróży. Zdarza się jednak niekiedy pech, i giną w drodze właśnie te okazy, które uważa się za najcenniejsze.

Najtrudniejszym punktem programu jest umiejętne umieszczenie węzów w worach, zwłaszcza jeśli są one z gatunków jadowitych. Węże „wpakowane” w klimacie zimniejszym są na ogół raczej śpiące, tak że łatwiej sobie z nimi dać radę.

Lapanie węzów to przedsięwzięcie dość łatwe i bezpieczne dla człowie-

ka wykazującego dużo zimnej krwi i zapobiegliwości. Największą trudnością do znalezienia odpowiednich okazów, Zielonego mamby (dendraspis), można znaleźć ukrytego wśród zielonego listowia drzewa. Należy go wówczas zwać na dół — inaczej trudno i niebezpiecznie byłoby go chwycić. Czarnego mamby nie spotyka się w Afryce, ale jego zielony kuzyn jest prawie tak samo niebezpieczny i zawsze gotów jest atakować — nawet nie zaczepiony, w przeciwnieństwie do wielu innych gatunków węży.

Czarna kobra jest również niezwykle jadowita i gdzieśgdzie często spotykana. Unika jednak (podobnie jak większość węzów) zetknięcia się z człowiekiem i bardzo rzadko atakuje. Należy do węzów gnieżdżących się w ziemi, tak że szereg okazów schwytaliśmy, wykopując je po prostu z dziur, w których znajdowały schronienie, jak to podpatrzyliśmy uprzednio. Kilka naszych największych okazów złapaliśmy w siłki ustawione wokół pól ryżowych czy zagonów, na których uprawiano zboża. Najciekawszy i chyba największy okaz kobry, z dostarczonych dotychczas do Zoo — został schwytany tuż koło mego biura: mój urzędnik ujrzał pewnego razu ogon tego węża wystający z kupy śmieci. Łatwo przyszedł więc schwycić kobrę i jej towarzysza do worka i posłać do londyńskiego ogrodu zoologicznego, gdzie oba płazy przebywają dotychczas.

Kobry te i mamby należą do najszybszych węży na świecie. Jednakże szybkość, z jaką się posuwają, nie wynosi więcej niż około 8 km na godzinę — tj. tyle ile szybki krok ludzki. To też w ciągu około 2 lat schwytaliśmy wraz ze swym asystentem około 100 okazów.

Najciekawszym zapewne rodzajem węża jest tzw. „jajożerca” (dasypeltis scabra). Jest to rzeczywiście mistrz w swym fachu. Posiada on gardle rodzaj piłki (wyrastającej kregosłupa), która przekrawa przełknięte jaja, zawartość trawi, a pusta skorupa wypływa. Węża tego spotkać można dość rzadko. Udalo mi się schwycić zaledwie 4 takie okazy.

Największy z nich był samica długości około 1 m. Pewnego dnia zaczęła ona składać jaja w skrzyni, gdzie była trzymana. Jednakże wyk. „jajożerca” był tak silny, że gdy tylko zniósła jajo, zaraz je zjadała. Na wolności nie mogłaby zdobyć jaj ptasich przez cały rok, toteż przywykła nie gardzić ani jami jaszczurek i węzów, ani nawet twardymi, okrągłymi, białymi jajami ogromnego jadalnego ślimaka.



Puszcza na Złotym Wybrzeżu.

DR F. C. FRANK

NAJNOWSZE ODKRYCIA W DZIEDZINIE PROMIENI KOSMICZNYCH

Przeszło dwa lata temu odbył się w Polsce międzynarodowy zjazd fizyków, badających promienie kosmiczne. Następny zjazd miał miejsce w Bristolu, w Anglii. Przybyli nań fizycy z przeszło 20 krajów, by zapoznać się z nową techniką doświadczeń nad promieniami kosmicznymi którą udoskonalili naukowcy uniwersytetu bristolskiego pod kierownictwem C. F. Powella. F. C. Frank z Bristolu przedstawia w poniższym artykule dotychczasowe wyniki badań, nad którymi pracują uczeni różnych części świata.

Historia promieni kosmicznych zaczyna się w 1900 r., kiedy to dwaj niemieccy uczeni, Elster i Geitel, oraz Anglik, C. T. R. Wilson, usiłowali wyjaśnić następujące zjawisko: dlaczego nie można uzyskać całkowitej izolacji w powietrzu? Promienie Roentgena powodują przewodzenie ładunków elektrycznych przez powietrze; podobnie działają promienie pierwiastków radioaktywnych, jak np. radu (w ziemi znajdują się zawsze niezauważalne ślady). Lecz Wilson i inni uczeni przekonali się, że nie daje to całkowitego wyjaśnienia; zaczęli oni przypuszczać, że musi istnieć jakieś bardziej przenikliwe promieniowanie, przechodzące nawet przez grube bryły ołowiu. Musi ono pochodzić spoza globu ziemskiego. Trzeba było blisko 30 lat, by wykazać że przypuszczenia te były słuszne.

Obecnie wiemy, że to co nazywamy pierwotnymi promieniami kosmicznymi stanowią jądra atomowe, poruszające się w przestrzeni z niesłychaną szybkością, prędzej, niż jakakolwiek materia we wszechświecie. Te pierwotne promienie bez przerwy bombardują górne warstwy naszej atmosfery. Częsteczki te są przeważnie jądrami atomów wodoru, innymi słowy protonami. Kilka miesięcy temu twierdziliśmy, że są to wszystko protony. Kiedy protony zderzą się z jądrami atomów w atmosferze, rozbijają je, powodując nawet powstanie nowych cząsteczek materii z samej energii ruchu. Rozbite części jądra i nowo powstałe cząsteczki poruszają się z początku tak szybko, że mogą rozbijać dalsze atomy, a proces ten może się powtarzać kilkakrotnie, tak że każda pierwotna cząsteczka kosmiczna powoduje powstanie deszczu cząsteczek wtórnych, które stopniowo tracą swą szybkość lecąc w dół poprzez atmosferę. Wiele z nich zatrzymuje się, zanim dotrze do poziomu morza, tak że korzystne jest prowadzić badania nad promieniami kosmicznymi na szczytach gór. Tak np. grupy naukowców z różnych części świata pracują w laboratorium w Alpach mieszczącym się na szczycie Jungfrau. Innych obserwacji dokonuje się przy pomocy aparatów umieszczonych w samolotach lub balonach. Nawet w ten sposób jednak obserwujemy zazwyczaj tylko wtórne promienie kosmiczne, a bezpośrednie obserwacje promieni pierwotnych zostały umożliwione dopiero niedawno, dzięki balonom wnoszącym się na duże wysokości.

Dlaczego badamy promienie kosmiczne? Głównie to to, by odkryć czym są i skąd pochodzą. O ile można stwierdzić na ziemi, promienie te dochodzą do nas jednakowo ze wszystkich stron przestrzeni, ulegając jednak dość skomplikowanym odchyleniom na skutek działania

ziemskiego pola magnetycznego. Doświadczając one ziemi stałego przypływu energii. Po konferencji w Bristolu, tak jak i poprzednio, wciąż jeszcze nie wiemy, skąd pochodzą kosmiczne promienie, choć orientujemy się już trochę lepiej, które z naszych przypuszczeń są mylne. Prowadzenie badań zostało znacznie ułatwione przez zastosowanie techniki bristolskiej. Przy zastosowaniu jej, jedyną aparaturą, którą zabiera się w góry, lub wysyła w balonach jest zwykła paczka płyt fotograficznych. Drogi cząsteczek promieni kosmicznych utrwalają się wprost na emulsji fotograficznej bez pomocy aparatu. Można je następnie dowozić do laboratorium i odpowiednio interpretować.

Przejdźmy obecnie do najnowszych odkryć. Jedno z najdonioślejszych dotyczy pierwotnych promieni kosmicznych. Dwóch Amerykanów, Peters i Bradt z Rochesera, USA, umieściło płyty fotograficzne w balonach, które wzniosły się na wysokość 30 tys. m. Na płytach tych znaleziono następnie duże, szerokie tory, które musiały być naznaczone o wiele cięższymi jądrami atomowymi niż protony; krótko mówiąc, pierwotne promienie kosmiczne zawierają nie tylko jądra wodoru, lecz helu, węgla, tlenu i prawdopodobnie wszystkich rodzajów atomów, z których zbudowany jest wszechświat, oraz w takich samych prawie proporcjach w jakich pierwiastki te znajdują się w materii gwiazd. Nie mówię to nam nic o pochodzeniu promieni kosmicznych, lecz ogranicza pole poszukiwań.

Prowadzi się obecnie liczne badania nad rozpadem atomu pod wpływem promieni kosmicznych, który utrwalony na płycie fotograficznej wygląda jak „gwiazdka” o 30 lub 40 ramionach, promieniających z jednego punktu. Ramiona te są prawdopodobnie rozszczepionymi torami jądra atomu srebra, który zderzył się z pędzącą z szaloną szybkością cząsteczką i został całkowicie przez nią rozbity. Nie jest to nowe odkrycie. Badania nasze dotyczą głównie szczegółów. Duński fizyk, Nels Bohr, porównywał ten proces do wyparowywania kropli cieczy. Badania nad sposobem rozrastania się deszczu promieni kosmicznych były bardzo cenne w przeszłości. Obecnie rozszerzono ich zakres do najwcześniejszych stadiów energii tego procesu.

Najwięcej uwagi koncentruje się dziś wokół mezonów.

Istnienie cząsteczek materii, lżejszych od protonów, lecz cięższych od elektronów, wykazują, jak niekompletną była nasza teoria budowy materii, którą wyznawaliśmy aż do chwili, gdy Anderson odkrył 10 lat temu pierwszy mezon. Nic dziwnego, że nie zauważono go wcześniej, gdyż do powstania mezonu potrzeba energii promieni kosmicznych lub co najmniej cyklotronu Berkeley'a; w milionowym ułamku sek. mezon znika ponownie przez samorzutny rozkład radioaktywny, o ile wcześniej już nie został pochłonięty przez jądro atomowe. Mezon Andersona był 200 razy cięższy od elektronu. Proton zaś jest jeszcze prawie 10 razy cięższy. 18 miesięcy temu trzej naukowcy z Bristolu, Lattes, Occhialini i Powell,

odkryli inny mezon, który jest około 300 razy cięższy od elektronu. Był to pierwszy wielki triumf, który nagrodził żmudną pracę nad rozwojem techniki stosowania płyt fotograficznych przy badaniach jądrowych. Cząsteczka ta została gruntownie zbadana i obecnie wiemy już o niej bardzo dużo. Jak już zaznaczyłem, cząsteczki zostały nawet sztucznie uzyskane w cyklotronie Berkeley'a. Nazywamy je P-mezonami w odróżnieniu od m-mezonu Andersona.

Właśnie te P-mezony powstają w czasie zderzenia się cząsteczek promieni kosmicznych z atomami, rozpadają się jednak w czasie 1/200 000 000 sekundy na m-mezony, trwające 1/2 000 000 sek. Fakt ten wyjaśnia wiele starych sporów, ponieważ oznacza, że mezony promieni kosmicznych, nad którymi głównie prowadzono dotąd badania, nie są tymi samymi cząsteczkami, które powstają przy bezpośrednim zetknięciu się jądra atomowego z promieniami kosmicznymi, lecz trwałszym produktem rozkładu. Pomiar długości trwania cięższego mezonu był najważniejszym rezultatem badań, jaki Powell przedstawiał na niedawnej konferencji w Bristolu.

Zagadnienie, które jest bliższe rozwiązaniu, dotyczy dokładnej proporcji masy tych dwóch mezonów. Jak już powiedziałem, stosunek ten ma się mniej więcej jak 300:200 czyli równa się 1.5. Lecz może on wynosić 1.3 i miałoby to wielkie znaczenie, z tej przyczyny, że o ile stosunek ten jest większy niż 1.3, musi istnieć inny neutralny mezon oprócz tych, które posiadają ładunki elektryczne. Wydaje się jednak prawdopodobne, że stosunek ten pomimo wszystko wynosi 1.3 i nasza teoria istnienia jakiegoś neutralnego mezonu musi upaść.

PROWIZORYCZNE SPRAWOZDANIE NA TEMAT STREPTOMYCYN

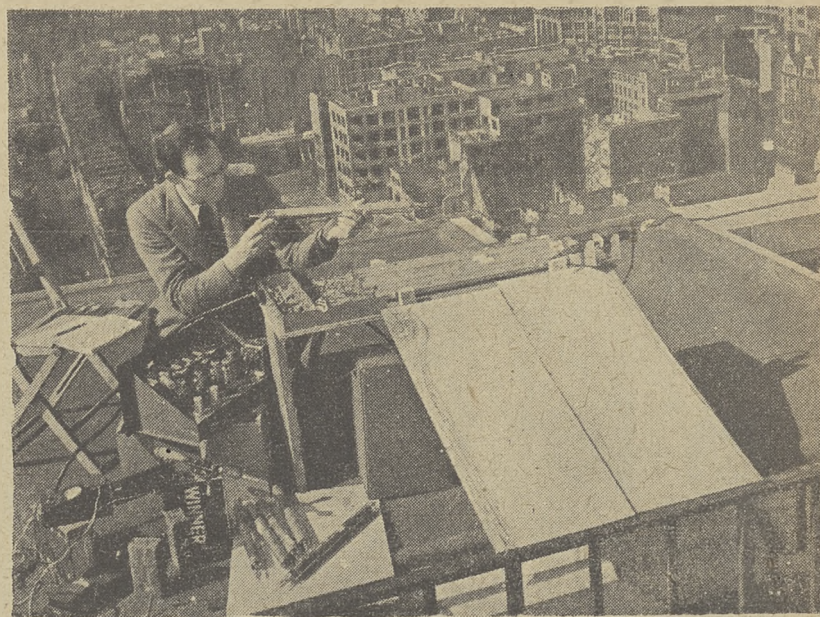
W ciągu ubiegłego roku Brytyjska Rada Badań Lekarskich przeprowadziła skrupulatne badanie kliniczne streptomycyny, lekarstwa tego samego typu co penicylina, używanego do leczenia gruźlicy. Sprawozdanie Rady, stanowiące przełom w medycynie zamieszczamy poniżej w streszczeniu Clifforda Troke'a.

Okres dzielący pierwsze sukcesy laboratoryjne od przyjęcia nowego lekarstwa w normalnej praktyce lekarskiej jest w konieczności długi. Nawet jeżeli się stwierdziło skuteczność bakteriobójczą w próbówce oraz w tkankach zwierzęcych, decyzja rozciągnięcia badań na ludzi wymaga największej ostrożności. Jeszcze większą ostrożność, sceptycyzmu popartego matematyką, potrzeba dla trafnej interpretacji rezultatów.

O streptomycynie, substancji antybiotycznej otrzymywanej z drobnoustroju żyjącego w glebie, wiadano od paru lat, że ma wybitne dobroczynny wpływ w pewnych przypadkach gruźlicy, jednak zakres jej działania wydawał się wąski, nawroty choroby były częste, a dawkowania często należało zaprzestać z powodu zawrotów głowy, torsji, bólow mięśniowych i głuchnięcia, a więc objawów bardzo niebezpiecznych.

Niemniej lekarstwo było niewątpliwie bardziej obiecujące aniżeli wszelka inna technika chemoterapeutyczna i dlatego rząd brytyjski popierał jego produkcję. Skoro wyprodukowano go dosyć, Rada Badań Lekarskich zdecydowała się na próbę na wielką skalę.

Badanie tego rodzaju polega na tym, że gromadzi się odpowiednią ilość jednakowo chorych i połowę ich leczy się badanym lekarstwem, a drugą połowę służy jako sprawdzian. Zachodzą jednak oczywiste trudności. Rzadko tylko zdarzają się dwa identyczne wypadki choroby. W każdym zaś razie wyrównanie wszystkich oddziałujących na pacjentów czynników ubocznych, tak aby różnice w historii chorób można było z całą pewnością przypisać wyłącznie działaniu podawanego preparatu, jest rze-



Fizyk Charles Jason przy jednym ze swych doświadczeń nad promieniami kosmicznymi na dachu budynku uniwersytetu londyńskiego.

Nie są to jednak jedyne mezony, które stanowią przedmiot dyskusji. Zanim nawet odkryto mezon 300 razy cięższy od elektronu, istniały pewne poszlaki co do istnienia mezonów o masie 700 do 1000 razy większej od elektronu. Leprince Ringuet w Paryżu, Rochester w Manchesterze oraz Alichanow w Moskwie, posiadają dowody istnienia takiej cząsteczki. Obecnie Peters i Bradt, którzy robili próby z balonami wznoszącymi się bardzo wysoko, znaleźli, jak się wydaje, dużą ilość tych mezonów. Lecz w sprawie tej trzeba być jeszcze bardzo ostrożnym.

Fizyk, Janossy, dostarczył dość wprowadzających i pośrednich dowodów istnienia bardzo lekkich mezonów o wadze przewyższającej od 5 do 10 razy wagę elektronu. Jeżeli odkrycie to zostanie potwierdzone, oznaczać będzie ono coś więcej, niż tylko rozszerzenie teorii mezonów. Byłby to całkiem nowy rodzaj cząsteczek wskazujący na jeszcze jedną ogromną lukę w naszej wiedzy o podstawowych cząsteczkach materii, którą od chwili pierwszej teorii atomowej w chemii tak często

uważaliśmy złudnie za bliską wypełnienia.

Dlaczego wszyscy ci uczeni tak bardzo interesują się mezonami? Na cztery lata przed odkryciem pierwszego mezonu japoński fizyk, Yukawa, orzekł, że byłby w stanie „złapąć” co trzymą w całości jądro atomowe, jeśli istniałaby taka cząsteczka. Krótko mówiąc, sądził, że mezony spełniałyby funkcję cementu w jądrze atomu, podczas gdy protony i neutrony są cegiełkami. Odkąd Anderson odkrył swój mezon, fizycy teoretyczni usiłowali w szczegółach udoskonalić teorię Yukawy, co im się nie udało częściowo dlatego, — jak to już dziś wiemy — że brali pod uwagę niewłaściwy mezon. Trzej czołowi znawcy tej niezwykle zawilej gałęzi fizyki teoretycznej, Heitler, Moller i Rosenfeld, orzekli zgodnie podczas konferencji w Bristolu, że muszą czekać na wyniki fizyków doświadczalnych, by dowiedzieć się czegoś więcej o mezonach, zanim będą mogli zrobić dalsze postępy w teoretycznych dociekaniach, w jaki sposób utrzymują one w całości jądro.

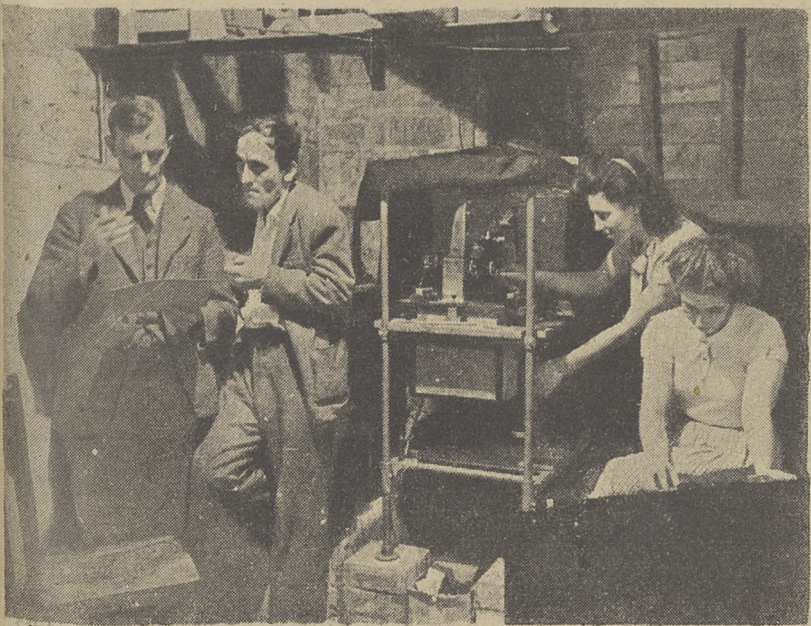
czą o wiele prostszą w teorii niż w praktyce. Jest też i inne trudne zagadnienie: co przyjąć za miernik polepszenia? Gruźlica jest na przykład chorobą pełną zmian i nawrotów. W jaki więc sposób można zdecydować czy w okresie dajmy na to 6 miesięcy nastąpiło w danym przypadku polepszenie?

Brytyjska Rada Badań Lekarskich uwzględniła uczciwie w swym sprawozdaniu te i tym podobne trudności. Ostateczne jednak wnioski dowodzą niezbicie, że streptomycyna przedstawia rozległe możliwości w dziedzinie zwalczania ostrych form gruźlicy płuc, szczególnie w początkowych jej stanach oraz że wywoływane przez nią objawy toksyczne nie przekreślają bynajmniej jej innych zalet.

Postanowiono ograniczyć próby stosowania streptomycyny do przypadków z określonej grupy wieku, mianowicie od 15 do 30 lat. Pod uwagę brano wyłącznie pacjentów, u których oba płuca były ostro i gwałtownie zaatakowane i którzy nie nadawali się do leczenia uciskowego. Wybrano ponad 100 przypadków, z pominięciem których niezainteresowany bezpośrednio badaniem interwencjonistyczny wyznaczył następnie 50 osób mających otrzymywać streptomycynę. Wielki nacisk położono na to, by rentgenolodzy i specjaliści którzy na podstawie zdjęć Roentgena określać mieli rozwój choroby pacjentów, nie wiedzieli, które z badanych osób są leczone streptomycyną. Wszyscy chorzy leżeli w łóżkach i wszyscy przestrzegali tego samego reżimu. U 50 pacjentów stosowano streptomycynę w formie zastrzyków, podając ją domięśniowo w codziennych 2 gramowych dawkach. Kuracja trwała 2 miesiące, a wyniki sklasyfikowano o 2 miesiące później. W tym czasie w grupie nie pobierających streptomycyny zanotowano już 14 ze 18 śmiertelnych, — podczas gdy spośród leczonych tym preparatem zmarło tylko 4 osoby. Ponad połowa przypadków z grupy streptomycynowej wykazała znaczne polepszenie, w grupie zaś która streptomycyny nie dostawała, przypadków takich było 4 (czyli 8%). Cyfry te dają statystykę bardzo wymowną. Dokładniejsza analiza obserwowanych przypadków wykazała, że streptomycyna najbardziej pomogła pacjentom, których schorzenie wstępowało najostrejsze w początkach leczenia. Po 12 miesiącach prób, procent przypadków wykazujących polepszenie, podniósł się w grupie nie otrzymujących streptomycyny z 8% na 33%. W grupie streptomycynowej proporcja pozostała ta sama co po 6 miesiącach, u 50% chorych zaobserwowano poprawę.

Streptomycyna nie jest więc kuracją usuwającą gruźlicę — nie mniej jednak stanowi potężną przeciwniebroń, jeśli jest właściwie używana. Działanie jej ma jednak jedną wielką wadę, o której należy pamiętać w czasie stosowania streptomycyny, bakterie gruźliczy wytwarzają bardzo silną odporność na nią. Dlatego też w razie przerwania kuracji nie warto jej już potem rozpoczynać, gdyż nie da to już żadnych rezultatów. Dalszą komplikację stanowi fakt, że pacjent leczony już streptomycyną, staje się nosicielem uodpornionych na nią zarazków, które może przekazać następnie innemu osobom. To samo, choć w mniejszym stopniu, odnosi się też do penicyliny, którą dlatego właśnie stosuje się w wielkich dawkach. Nie da się niestety postępować tak, że streptomycyną. Może ona być podana raz, — w szeregu dawek odczekać, po czym traci wszelką wartość dla danego pacjenta. Wyniki przeprowadzonych prób wskazują, że bardzo dużo zależy też od wykorzystania tej niepowtarzalnej szansy we właściwym momencie.

Kiedy moment ten jest niewłaściwy, to zagadnienie, które wciąż jest rozpatrywane. Badania wykazały w końcu, że właściwa dawka streptomycyny we wczesnym stadium ostrej gruźlicy płuc może przynieść znaczną poprawę. Rada Badań Lekarskich podkreśla w swym sprawozdaniu, że okres prób był stosunkowo krótki i że konieczne jest zgromadzenie znacznie większej ilości materiału.



Dr Powell (po lewej) i dr Occhialini, dwaj uczeni bristolskiego uniwersytetu dyskutują nad torami cząsteczek rozbitego przez mezon jądra atomowego, uwiecznionymi na specjalnej emulsji fotograficznej.

KOBZIARZ GWARDII KRÓLOWEJ



Oryginalna pobudka w koszarach pułku szkockiego



Stacjonowany w garnizonie stolicy Szkocji Mc Leod ogląda miejscowe pomniki. Oto pomnik ufundowany przez Amerykanów pochodzenia szkockiego ku czci Szkotów poległych w czasie I wojny światowej.



W razie wojny Neil Mc Leod może zostać powołany do pełnienia funkcji sanitariusza. Musi więc umieć udzielić rannym kolegom pierwszej pomocy. Uczy się tego właśnie na ćwiczeniach.



Neil Mc Leod — kobziarz Przybocznej Gwardii J. Królewskiej Mości.

NEIL Macleod jest kobziarzem w Przybocznej Gwardii Królowej (Queen's Own Cameron Highlanders), — to znaczy w jednym z pułków, wchodzących w skład słynnej 51 Dywizji Highlandzkiej.

Neil Macleod jest kobziarzem w Przybocznej Gwardii Królowej (Queen's Own Cameron Highlanders), — to znaczy w jednym z pułków, wchodzących w skład słynnej 51 Dywizji Highlandzkiej.

W czasie pokoju czy też wojny kobziarz, to prawdziwy spiritus movens pułku szkockiego. W okresie pokoju dźwięki kobzi i bębnow równają krok żołnierzy, idących w daleki, ćwiczebny marsz. Zielone bluzy kobziarzy, czerwone doboşów, kołyszące się spodniczki, tartanowe narzutki i czapki z piórami, powiewającymi na wietrze — wszystko to czyni świetnym widowiskiem parady Szkotów, odbywające się w tradycyjnych strojach.

W razie wybuchu wojny orkiestra szkocka zostaje zredukowana do 5 osób i dyrygenta. Pozostali jej członkowie w liczbie około 30 żołnierzy otrzymują przydział do różnych funkcji. Jedni zostają sanitariuszami, inni gońcami, inni znowu wyborowymi strzelcami.

Do najpiękniejszych kart historii szkockich kobziarzy pułkowych zaliczyć należy bohaterską postawę członków orkiestry w czasie wojny. W najgłośniejszych momentach bitew przygrywali oni swym walczącym kolegom, poświęcając przy tym często własne życie.

Kobzy, to instrument, który rozpowszechnił się w wielu częściach świata, od Northumbrii po Indie, nie mówiąc już o Tatrach. Kobzy szkockie są jednak szczególnie charakterystyczne. Są tradycyjnym instrumentem okręgu górskiego, gdzie od setek lat przygrywano na nich, czy to z okazji czyjejś śmierci, czy to na weselach, przy uroczystościach narodowych, czy na wojnach, albo i dla rozrywki w długie wieczory zimowe, gdy rodzina i znajomi skupili się przy kominku.

Kobza to ulubiony instrument Szkotów woła go od wszystkich innych, bo w muzyce jej jest i dzikość i smutek — dwa zasadnicze elementy, które kształtowały



Orkiestra kobziarzy podczas defilady.

historię szkocką i były wyrazem temperamentu celtyckiego.

Neil Macleod pochodzi z jednego z wielkich ośrodków kobziarstwa w Szkocji. Urodził się mianowicie na wyspie Skye, i pierwszy w swej rodzinie zaczął upra-

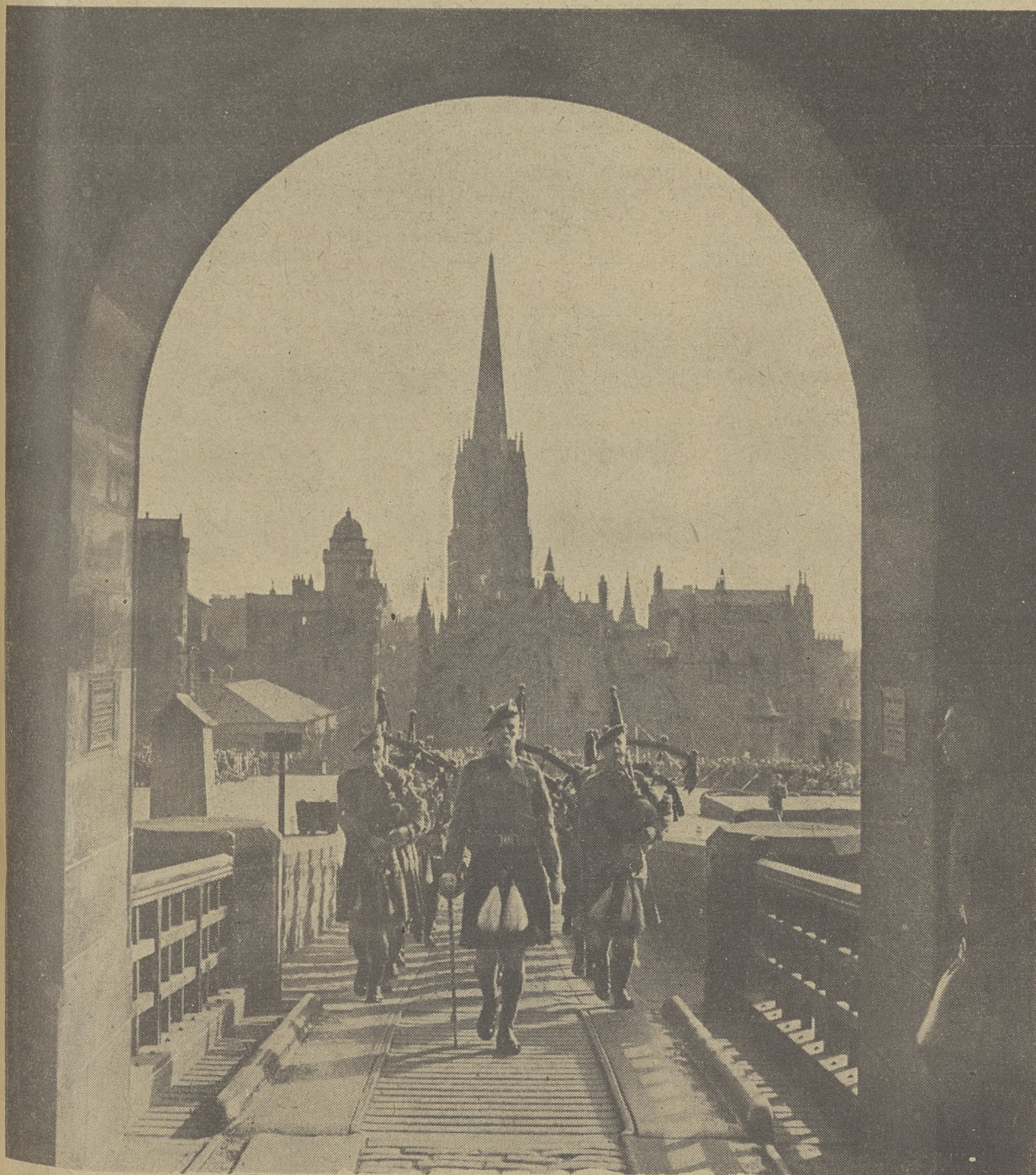
wiać grę na kobzie. Mimo to, już po kilku latach nauki zdobył znaczne nagrody w szeregu wielkich konkursów. Okres służby wojskowej Neila dobiega końca. Nie porzuci on jednak kobzy. Jest przecież prawdziwym Szkotem.



Mc Leod podczas normalnych ćwiczeń wojskowych odróżnia się od swych kolegów jedynie oznaką na prawym ramieniu, wskazującą, że jest on kobziarzem.



Kobziarz Mc Leod ze swym przyjacielem doboszem Robertsonem. Obaj ubrani są w galowe mundury.



Zmiana warty. Batalion szkocki z orkiestrą na czele idzie obłąć służbę w zamku Edinburgh.



Żeby grać solo na kobzie, trzeba co najmniej 7-letniej praktyki. Neil wykonuje jeden z klasycznych utworów na kobzę przed frontem orkiestry.



Uroczysta wypłata żołdu odbywa się co tydzień w piątki. Mc Leod melduje się właśnie po wypłacie.



Neil opowiada rodzinie o swych przygodach w czasie służby wojskowej. Ojciec, „stary wiarus” z I wojny światowej jest dumny z syna.



Dyrygent orkiestry odbył właśnie przegląd swych chłopców. Teraz kolej na strojenie instrumentów. Za chwilę przecież zacznie się defilada.

Recenzja J. H. B. PEEL

Arthur Quiller-Couch – studium biograficzne

Nowa biografia Sir Arthura Quiller-Coucha (Arthur Quiller-Couch: Studium biograficzne przez F. Brittaina, nakładem Cambridge University, cena 15 szylingów) ma pewne znaczenie w literaturze angielskiej, ze względu na czołowe stanowisko, jakie „Q” (jak go powszechnie nazywano) zajmował w tej dziedzinie na początku bieżącego stulecia. Pisał on powieści, nowele i wiersze, ale jego

ru. „Q” przybył do Londynu, gdzie po sześciu latach pracy dziennikarskiej, — „pracowałem całymi dniami po 14 godzin dziennie”, — spłacił ostatki ojcowskich długów i zdobył sobie sławę jako powieściopisarz i krytyk.

Sądzę, że pozostanie on w pamięci raczej jako krytyk literacki, niż jako twórca, że będziemy wspominali raczej jego wykłady w Cam-

przez F. Brittain'a

bridge, niż swych wykładów w Cambridge miał przed oczyma biednych małych Kornwalijszczyków skandujących uniwersytetu. Wykłady Quillera w Cambridge wydano w trzech książkach: „Poeta jako obywatel”, „Sztuka czytania” i „Sztuka pisania”. Raz po raz wbił on w nich słuchaczom łopata do głowy podstawowe zalety pisarza i krytyka: unikanie niejasnych i gwarowych wyrażeń, precyzja i dokładność, wyzbycie się wyłączonego estetycznego podejścia do sztuk pięknych w ogóle, a do literatury w szczególności. Pozwalał sobie również na akademickie docinki w stosunku do zawodowych pedantów, którzy więcej zwracali uwagi na interpunkcję u Szekspira, niż na treść jego sztuk.

Tuż przed pierwszą wojną światową Quiller został profesorem literatury i języka angielskiego na uniwersytecie w Cambridge. Był to najpełniejszy i na ogół najszczęśliwszy okres w jego życiu. Po raz pierwszy spotkałem go około r. 1935, kiedy sam byłem młodzieńcem dwadzieściu lat, a on mógłby być moim dziadkiem. Typowym objawem jego miłego podejścia do ludzi i skromności było, że śledził życiowicie moje wysiłki literackie i dodawał mi odwagi. Chociaż studiowałem wówczas w Oxfordzie, często jeździłem do Cambridge na jego wykłady.

W owym czasie wypracował on zupełnie nowy system wykładania literatury angielskiej na uniwersytecie. Bardziej konwencjonalni wykładowcy pragnęli nadać temu wydziałowi charakter filologiczny ze specjalnym uwzględnieniem epoki anglo-saksońskiej. Quiller, — sam wybitny klasyk — odrzucał suche podejście akademickie i starał się silnie podkreślać ludzkie wartości

literatury. Zwyciężył w końcu, a wydział ściągać zaczął najzdolniejszych młodych intelektualistów angielskich. Wykłady Quillera w Cambridge wydano w trzech książkach: „Poeta jako obywatel”, „Sztuka czytania” i „Sztuka pisania”. Raz po raz wbił on w nich słuchaczom łopata do głowy podstawowe zalety pisarza i krytyka: unikanie niejasnych i gwarowych wyrażeń, precyzja i dokładność, wyzbycie się wyłączonego estetycznego podejścia do sztuk pięknych w ogóle, a do literatury w szczególności. Pozwalał sobie również na akademickie docinki w stosunku do zawodowych pedantów, którzy więcej zwracali uwagi na interpunkcję u Szekspira, niż na treść jego sztuk.

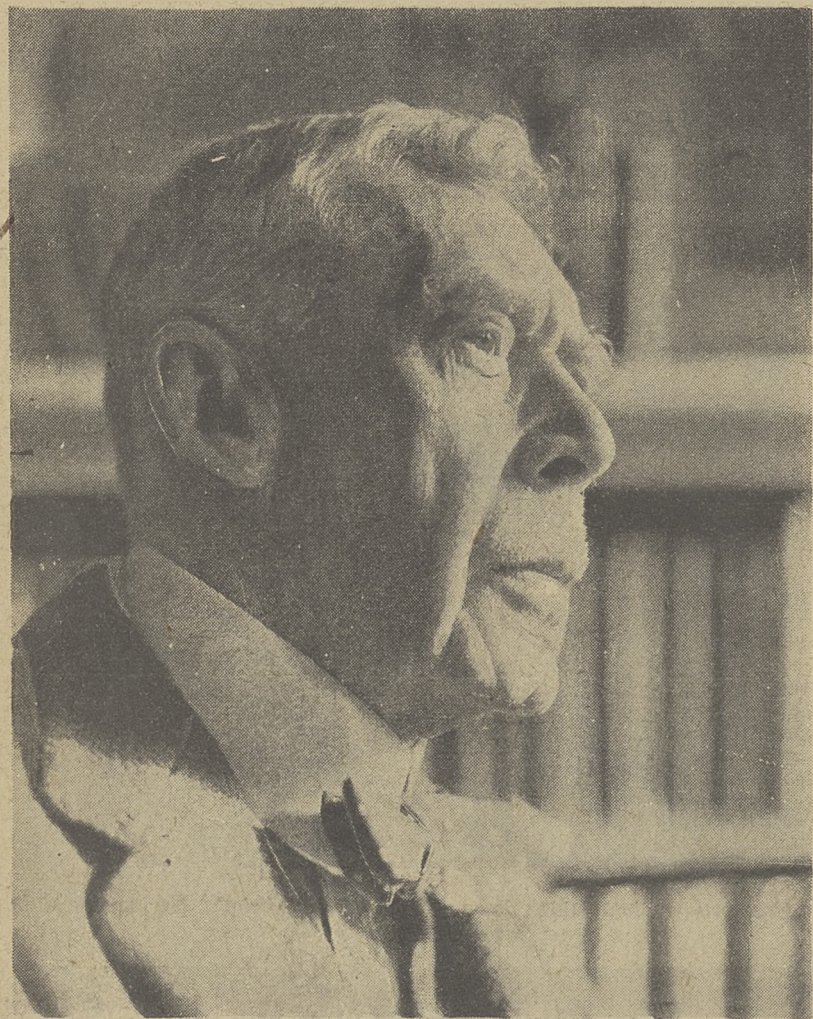
Uwagi Quillera o „żargonie oficjalnym” stały się przysłowiem. „Co się dzieje, kiedy w Izbie Gmin minister ma powiedzieć „nie”? Dla niektórych ludzi fizyczną niemożliwością jest powiedzieć „nie”, a więc mówią: „Odpowiedź jest negatywna”. Ma to znaczyć: „nie”. Czy naprawdę znaczy to jednak coś więcej, ponadto że mówiący jest pompatycznym gadułą? A to przecież nie interesowało nikogo”.

Wykłady Quillera o Technice Szekspira wykazują głęboką wiedzę, zapał i wnikliwość. A uwagi o komentatorach i ich podejściu do Hamleta, który nie mógł zdecydować się zabić króla, nie tylko trafiają w sedno sprawy, ale również ilustrują mentalność „Q” i jego metodę. Czytając je słyszy się niemal jego głęboki głos, który przecina niby nożem pajęczynę pedanterii. „Komentatorzy chcieliby wiedzieć,

dłaczego Hamlet odkrywając winę swego wuja nie uśmiercił go natychmiast. Wygląda, że oni postąpiłby właśnie tak... Tak więc, w dziecie, nigdy nic nie wadomo. Spotykam się takich nieraz, drepających za swymi niewinnymi interesami, i u wierzyć wprost niepodobna, że każdy z tych bohaterów zabiłby siebie mimochodem kalkunastu. Szkolowa na śniadanie, a potem umył ręce i powiedział do żony: „Co za wspaniałe spokojne życie! Chcę pracować”.

Dalszą zasługą Quillera dla literatury angielskiej było opracowanie szeregu sławnych antologii dla wydawnictwa uniwersyteckiego. Jego Pisma te obejmowały: The Oxford Book of English Verse, The Oxford Book of Ballads, The Oxford Book of Victorian Verse i The Oxford Book of English Prose. Wszyscy studenci literatury angielskiej mają je w swej bibliotece.

Inną jeszcze, choć niemiernie ważną stroną charakteru „Q” ukazała nam książka Brittaina, a mianowicie jego bogata osobowość. Autor bowiem był sam przez jakiś czas profesorem na uniwersytecie w Cambridge i znał „Q” osobiście, kiedy ten znajdował się u szczytu swej sławy i kiedy postać jego otoczona już była pewnego rodzaju legendą. Dlatego może z kart jego książki wyłania się jak żywy. Poznajemy go jako amatora wsi i jachtinżu, widzimy go także jako człowieka nauki (zmarł w 1944). Znamy jego gestykulację, jego twarz budogę, uśmiech, przejmującą kurtuazję, liberalizm, wielkoduszość i odwagę, oraz skromność i chrześcijańską prostotę.



Sir Arthur Quiller-Couch

główne zainteresowanie stanowiła krytyka literacka. Dzisiaj prawdopodobnie najbardziej znanymi z jego dzieł jest wznowione wydanie wykładów pt. „Poeta jako obywatel”, „Sztuka pisania” i „Sztuka czytania”. Wykłady te wygłosił Sir Arthur na uniwersytecie w Cambridge jako profesor literatury i języka angielskiego.

Arthur Quiller-Couch urodził się w 1863 r., a wychowywał się w Kornwalii, gdzie do dziś panuje jego tradycyjny izolacjonizm, a w odległych wioskach człowiek przybywający z innego hrabstwa uważany jest za obcego. W młodości Quiller otrzymał wykształcenie klasyczne, najpierw w szkole, a następnie w Trinity College na uniwersytecie oxfordzkim. Trinity ofiarowało mu stanowisko wychowawcy, ale tytuł członka kolegium, o który usilnie się starał omijał go przez wiele lat. W późniejszych latach „Q” przyznał, że ciężkie ciosy losu, które w owym czasie na niego spadały, okazały się błogosławieństwem. Byłby musiał poświęcić całą swą energię na wykładanie na uniwersytecie, zaniedbując szersze aspiracje literackie. Tymczasem śmierć ojca, katastrofa finansowa w rodzinie i obowiązki, jakie na nim zaczęły z powodu odciecznego długu, zmusiły go do wyrzeczenia się na razie marzeń o katedrze. Odwaga i wewnętrzna równowaga pozwoliły jednak młodemu człowiekowi zwycięsko wyść z tych trudności. Zrobił trzy postanowienia: zapłacić rodzinne długi, wyrwać się z sennego marazmu akademickiego życia i ożenić się. Oto w jaki sposób opisuje chwilę, kiedy znajdując się w obliczu tyłu przeciwności, proponuje swej wybranej małżonce: „Tęgo samego wieczoru poprosiłem panią mego serca, żeby została moją żoną... Zaczęłam od szczerzego przedstawienia wszystkich tego co przemawiało na moją korzyść. Wystarczy tu powiedzieć, że patrząc wstecz na 50 kilka lat mego życia, mogę oświadczyć, że ta godzina była jedną z najszczęśliwszych. Zatrzymał się w połowie krótkiej alej prowadzącej do morza za niskim murem pokrytym mnóstwem dzikiego tymianku. Na jednym krzewie nożyłem rękę, kiedy mówiłem i czekałem na jej odpowiedź. Do dziś dnia kiedy rozcieram w ręku to roślinę, jej delikatna woń przypomina mi odpowiedź mojej wybranej”.

Dalsze koleje życia „Q” przedstawia Brittain z mieszaniną miłości i obiektywizmu, sentymentu i humo-

bridge, niż opowieści kornwalijskie — choć są one rzeczywiście wspaniałe. Sądzę, że „Q” był raczej narratorem niż powieściopisarzem. Podobnie jak jego mistrz Robert Louis Stevenson (autor Treasure Island — Wyspy skarbów) umiał doskonale opowiadać. Przygoda i rycerskość były jego ulubionym tematem. Umiał także dobrać trafne i ciekawe tytuły: „Dead Man's Rock” (Skała zmarłego), „The Ship of Stars” (Statek gwiazd), „Polson Island” (Wyspa trucizny). Książki te napisane są doskonale, jasną prozą, którą cechuje powściągliwość naukowca. A powieści awanturnicze Quillera są jedne z najlepszych w literaturze angielskiej.

Wielu czytelników woli szkice kornwalijskie Quillera, np. Troy Town (Masto Troy) i „The Delectable Duchy” (Księstwo rozkoszne) (Troy jest fikcyjną nazwą miejscowości Fowey, gdzie Quiller się osiedlił). Jedną opowieść specjalnie utkwiła mi w pamięć — The Cuckoo Valley Railway, (Kolej Kukułczej Doliny). Sam Quiller lubił ją bardzo. Żadne streszczenie nie potrafi oddać jej idyllicznego dla — wycieczki młodej pary koleją w piękny dzień letni. Nic się nie dzieje. Jest tylko atmosfera Kornwalii: soczysta, świeża, gorąca.

Quiller nie był poetą pomimo że napisał jeden czy dwa wiersze, dorównujące niemal najlepszym utworom mistrzów. Podobnie jak Matthew Arnold również wychowanek Oxfordu, ułożył on dźwięczny i wzruszający hymn na cześć swego uniwersytetu. Nektóre z jego lepszych utworów lirycznych są zresztą i dozwolne, ale najlepszy swój poemat napisał o moście nad rzeką Aven. Pierwsze wiersze utworu dają wyraz sile jego patriotyzmu i miłości do rodzinnej ziemi:

„O śielankowe serce Anglii, co jak psalm

O dniach zielonych upałem

O fało wzlatująca cicho w słońca dal

O zmęczony skowronku spływający w zboże”.

Powodzenie jakim cieszył się jego opowieści pozwoliło mu osiedlić się nad małą zatoką Fowey, w nadmorskim domu zwanym Hermitage. Tutaj oddał się wielkim pasjom swego życia: liberalizmowi, wychowaniu dzieci i żeglarsztwu. Był niezmordowanym liberalem. Los dzieci wzruszał go głęboko. Sam powiedział kiedyś, że nawet w czasie

Przyszłość Herberta Morrisona

Maurice Edelman, poseł Labour Party z okręgu West Coventry, napisał nową biografię Lorda Prezydenta Rady, Herberta Morrisona, „Herbert Morrison”, Lincolns-Prager, cena 7 szylingów 6 pensów).

Książka jest bezpretensjonalną historią życia Morrisona. Przypomina czytelnikowi, ile niepowodzeń spotkało go na drodze do obecnego stanowiska. Morrison został wybrany do Izby Gmin w r. 1923, przepadł w wyborach w r. 1924, został wybrany ponownie w 1929 r. i był ministrem komunikacji za nieszczęśliwego rządu mniejszości Partii Pracy pod Mac Donaldem, aż do porażki Labour Party w 1931 r.

Po niepowodzeniach r. 1931 rozpoczął triumfalną karierę w Radzie Hrabstwa Londynu, najpierw jako radny miejski, później jako przewodniczący Rady. Chociaż odnosił sukcesy jedynie w stolicy, stał się sławnym w całym kraju.

Zalety, które były mu właściwe niegdyś, cechują go i obecnie jako Lorda Prezydenta Rady i lidera Izby Gmin: — bystrość, talent, śmiałość połączona z roztropnością, dobry humor i praktyczny idealizm. Niemniej najbardziej interesującą cechą H. Morrisona jest to, że stał się on rozwija. Długie lata sprawowania urzędów zazwyczaj rutynizują umysł ludzki, natomiast umysł Morrisona, — powiada autor, — jest dzisiaj świeższy i bardziej elastyczny, niż 10 lat temu. W ciągu ostatnich paru lat wykazał doświadczenie do całkiem samodzielnego, a nawet nieprawowiernego myślenia. W ostatnich mowach wybiegł daleko poza utarte schematy doktryny partyjnej. Morrison nie waha się przed wypowiedzeniem zdań niepopularnych, które często wręcz odstręcają radykałów z jego własnej partii.

Często bez ogródki przypomina Partii Pracy, że ma ona nie tylko prawa, ale obowiązki i odpowiedzialność. Czytelnik dowiaduje się, że brak inicjatywy jest równie destrukcyjny w przedsiębiorstwach państwowych, jak w przemyśle prywatnym że hamowanie produkcji jest równie niesłuszne ze strony pracodawców, jak ze strony pracowników, że świadczenia społeczne nie mają być darem z nieba, ale że zdobywa się je ciężką, codzienną pracą; że

nowe formy przywilejów są równie złe, jak stare i w końcu, że dobro całego społeczeństwa musi być wytyczną polityki.

Labour Party wstępuje obecnie w okres, który jest krytyczny w historii wszystkich partii politycznych, a szczególnie lewicy — okres, kiedy osiągnięto już bezpośrednie cele, a początkowy rozmach powoli słabnie. Do końca obecnej kadencji partia przeprowadzi swe od dawna zamierzone plany unarodowienia. Zrealizuje też w pełni swój system opieki społecznej.

Z kolei nadejdzie pora na „umocnienia zdobytych pozycji”, na zajęcie się tysiącem zawiłych problemów, związanych z administracją przedsiębiorstw państwowych, trzeba też wziąć w rachubę nieuniknione rozczarowania i pretensje.

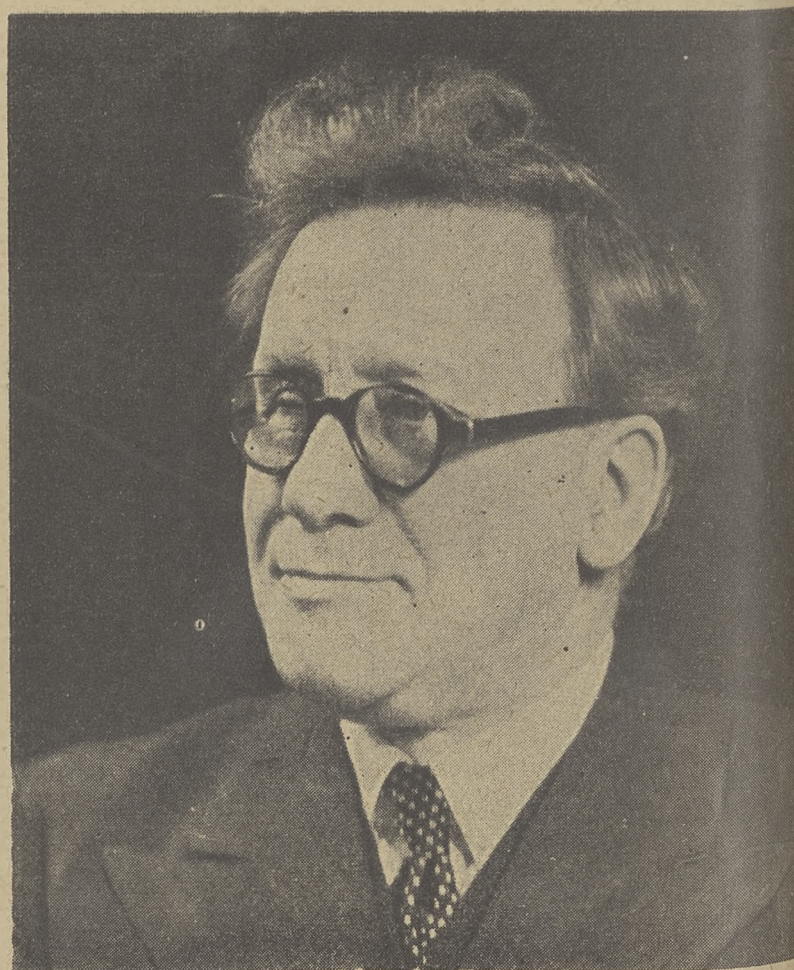
Okres taki jest szczególnie niebezpieczny dla partii, która tyle

zawdzięcza apostołskiemu zapalowi swych zwolenników.

Odłam lewicowy brytyjskiej Partii Pracy sądzi, że najlepszą drogą rozwiązania tej sytuacji jest śmiałe sformułowanie do następnych wyborów nowego programu skrajniejszego socjalizmu, więcej unarodowienia na szeroką skalę, ściślejsza kontrola gospodarki krajowej i pełniejsza reglamentacja.

Przemówienia Morrisona — kończy p. Edelman — pozwalają przypuszczać, że dąży on teraz do nieco odmiennego celu, chociaż twierdzi, że jest nadal gorliwym socjalistą. W jego mowach przejawia się nowa filozofia polityczna: forma demokratycznego socjalizmu o wiele bardziej zbliżona do tradycji dawnego angielskiego radykalizmu, niż do ortodoksyjnego marksizmu.

„News Chronicle”



Mr. Herbert Morrison

DZIEŃ był szary i ponury, powietrze nieruchome, wysypała żółta ścieżka, zupełnie pusta i marta w wodnistym świetle południa. Mała Nita pędem wracała ze szkoły do domu. Torister podskakiwał jej na plecach, granatowy zeszyt w rozkołysanej ręce łopotał białymi kartkami, a chude, długie nogi o kościstych kolanach śmiały wyrzucane od przodu, jak u rozhułkanego żrebacka. Już od szczytu pagórka, poniżej którego stał szereg domków, wołała podniecona: „Dosiu, Dosiu”, a młody, tryskający życiem głos rozlegał się echem po czarnym żwirze ścieżki odbijając się od brukowanych podwórek, dzwonił o szyby okien, wznosił się i zamykał u liściastych wierchołków topoli, ponad szarymi dachami, ginąc wśród pachnącego pieczenia i czadem dymu.

Dosia siedziała na podwórku i nakręcała gramofon. Płyta wirowała w zawrotnym tempie, coraz prędzej i prędzej, a z tyłu wydobywał się świrujący, blaszany głos, skrzecząc jakiś popularną piosenkę. Nita zatrzasnęła drewnianą furkę i podniecona przypadła do kuzynki; w ruchu tym torister, kapelus, włosy i sukienka dziewczynki przypominały kolorowe, rozrzucone piórka. Otrzymała Dosia ramieniem i zadyszana zaczęła jej szeptać do ucha. Oczy małej zackraśniały się zaciekawione, ściągnęła usta, jak by się miała rozplakać. Nita zwierzała się dalej, mrużąc szybko i błyskawicznie białkami przy każdym straszonym słowie. Kiwała przy tym głową, odsuwając to zbliżając wilgotne, rozpalone gorącym oddechem warzy do ucha kuzynki.

— Widziałam to... tam, wyraźnie, jak na dłoni...

Krótkie, przerywane z przejęcia zdania wyczerpały w końcu całą tajemnicę. Nastąpiła przeciągła, pełna powagi cisza, skulone dziewczynki wpatrywały się jedna w drugą. Z piersi Dosi wyrwał się głębokie westchnienie. Nita zaczęła kiwać głową, najpierw powoli, a potem coraz prędzej, zerwała się i próbowała zacerpnąć oddechu, by raz jeszcze wyrzucić z siebie te rozkoszne straszne historie.

Bo nic podobnego jeszcze nigdy do ad się nie zdarzyło. To nie ulegało wątpliwości. Straszne rzeczy działy się czasem, co prawda, jak np. kiedy dwa lata temu, pewnego gorącego popołudnia, właścicielka sklepu przewróciła się na orze kolejowym, a rozpełzony pociąg przejechał ją na śmierć. To było straszne, zwłaszcza, że upalne popołudnie było jakby wymarzone na wycieczkę i wszędzie rosnęło mnóstwo kwiatów. Ale potem dzieci przecież się śmiały, kiedy ktoś z nich wspominało o poziomkowym powideku. Zdarzył się również wypadek z rodziną Leadbetterów, którzy nagle zniknęli. W poniedziałek jeszcze wszyscy siedzieli, od babci do małej Anielki, mieszkali w przedostatnim domku na końcu ulicy, a we wlozek już ich nie było. Podobno w nocy zajęchała ciężarówka, a w domku nie zostało nic, ani nawet szpilki. Domek pod numerem 6 stał ciągle, a o Leadbetterach zagnęła wszelki śluch! I nikt nie chciał powiedzieć dlaczego, ani jak się to stało. Sarsi naturalnie wiedzieli, ale tkwiła w tym jakaś okropna tajemnica, której nigdy nie chcieli wyjawiać. Marszczyli czoła, zaciśkali wargi w wąską kreskę, albo mówili:

„Nie stawiajcie niepotrzebnych pytań”. Nita i Dosia gozdzynami wyawały przed Nr. 6 i zaglądały do okien. Dobijały się do drzwi kuchennych i potraciały nogą leżącą na podwórku pusę i butelki. Litonoz zatknał dziennik niedzielnym w umieszczoną na drzwiach tego domu skrzynkę i dziennik sterował parę tygodni z tej martwej puski. Od tego czasu nikt nie używał więcej Leadbetterów. Znikli jak kamfora. Krzyło się coś bardzo dostrzeżanego w tej całej historii.

Było to pamiętne wypadki, ale pozostało po nich tylko młiste i niewyraźne wspomnienie. Ale teraz stało się coś całkiem nowego, i o o działo się teraz, w tym właśnie momencie, „kiedy tykają ze-

WILLIAM SANSOM

STRASZNE CUDOWNE

gary, a dzwon kościelny dzwoni”. Dzwon kościelny rzeczywiście zabrzmiał w tej chwili jak gdyby ktoś w niebie zatrzasnął wieko jakiegoś olbrzymiego, blaszanego pudła. Dźwięczne echo potoczyło się po szarym firmamencie, po czym miarowe uderzenia wypełniły całe wrześniowe południe. Dzieci szeptały zapamiętałe. Płyta na gramofonie wirowała skrzypiąc i zgrzytając, śpiew już przed chwilą się urwał. Podwórko zdawało się dźwięnie opuszczone, mimo rozwieszonych na sznurach białyn i różnych walających się po kątach gratów. Dzieci nie odczuwały jednak tej martwoży. Nie widziały zielonych liści zwisających ma tle szarego nieba i białych chmur, zieleni powoju, którym obrośnięte były gnie topoli, ani pół rozwalonej przybudówki, w której pełno było chwastów i puszek od farb, ani sąsiedniej parceli, ani brudnej szarości ścian domków — słowem nie z całego otaczającego je krajobrazu, w którym przeważała szarość, ciemna zieleń i czerń.

„Cóż zrobimy. Cóż zrobimy?” — szeptała Dosia do Nity, a Nita do Dosi, zerkając wokoło przemądrzałym i jednocześnie dziecięcym spojrzeniem. Jedna miała 8, a druga 9 lat, a wyraz ich twarzy był ponad wiek poważny, odbijały się na nich bowiem wrażenia, wyobrażenia raczej, niż istotnie odczute. Wreszcie Nita powtórzyła po raz dwudziesty z rzędu:

„Któż to mógł zrobić. Któż mógł to zrobić?” — Dosia podskoczyła, klasnęła w ręce i zaczęła tańczyć.

„Dosia wie, Dosia wie co zrobimy”, — nuciła bez przerwy, skacząc po podwórku, a oczy jej świeciły niesamowitym blaskiem. Podbiegła nagle do Nity i powie-

rzała Dosia i przyłożyła palec do ust.

Nita zbliżyła się do niej, wzięła ją pod ramię i obie skryły się w kącie podwórka, szeptać tajemniczo. Oczy Nity błyszczały chęcią usłyszenia słów, które — wiedziała to — muszą zostać wypowiedziane. Błagała:

„Powiedz, powiedz co zrobimy, Dosiu”.

Dosia pochylała nisko głowę i powiedziała „to” cicho i powoli.

Zdawało się, że gorący obiad nigdy się nie skończy, choć samo już czekanie było rozkoszą. Matka Nity, jeszcze w fartuchu, podała dzieciom baraninę, soczystą i szarą i białe, wilgotne ziemniaki. Przez cały czas obie dziewczynki chichotały, spoglądając na siebie spoza karafki, pełnym łek wzrokiem. To znów opuszczając oczy i dłubiąc łyżką w białym sosie. Matka raz po raz pytała, co się stało. Dziewczynki spuściły głowę i przymrużywszy oczy dalej prowadziły swe konszachty, powstrzymując się z trudem od nerwowego śmiechu. Nagle Nita zaśpiewała na głos: „O jej, coż się to mogło stać?”. a Dosia mając usta pełne kaszy zaczęła się krztusić. Matka wreszcie straciła cierpliwość i kazała dzieciom iść w tej chwili się położyć bez deseru. O to im właśnie najbardziej chodziło: wymknąć się z pokoju, zamknąć za sobą drzwi i polecieć na dół. Uciec od białego, pełnego okruszyn obrusa i rzucić się na białe łóżko, gdzie można wreszcie wybuchnąć śmiechem. Nita nagle przestała chichotać i powiedziała poufnie: — „Powiedz, powiedz”.

Po pół godzinie Dosia spytała wreszcie:

„Nie ma, rzeczywiście nie ma...”

Na to Nita zerwała się z łóżka i z namysłem, trądzicznie i powoli oznajmiła:

„W każdym razie mam jeszcze pięć groszy”.

„Twoje pięć groszy”.

„Moje pięć groszy”.

„PIĘĆ GROSZY”.

Zaczęły znowu szczebioczyć, pieniądze zostały wydobyte z ukrycia i z czułością przeliczone, a Dosia powtarzała raz po raz:

„Za to kupimy całą masę”.

„Masę czego?”

„Masę już — wiesz — czego”...

„Kiedy?”

„Och, zaraz, zaraz, zaraz, zaraz...”

Nagle Nita stanęła, jak wryta, a okropna bladeść nadała jej „wazycznie poważny, smętnie-dojrzały wyraz.

„Och, — rzekła, — ale to dzisiaj środa!”

„Środa!” — powtórzyła za nią Dosia, jakby przeżuując coś czego nie była w stanie połknąć. — „Sklepik jest zamknięty!” — Był to dzień, kiedy miejscowy sklepikarz miał wolne popołudnie i zamknął sklep o dwunastej.

Tego wieczoru dziewczynki postanowiły, że zamiar swój wykonają nazajutrz. Noc ta ciągnęła się bez końca, jak czasem przed Bożym Narodzeniem, kiedy święta są już wprawdzie za pasem, ale nie chcą nadejść, albo, jak w lecie, kiedy przez otwarte okna słychać wyraźnie dźwięki orkiestry grającej na jarmarku. Dzisiaj okna były również otwarte, ale na dworze było ciemno i ciepło, mimo że w powietrzu czuć było zapowiedź zimy, która zdawała się dziwnie groźna. Nastroj przypominał wieczór poniedziałkowy, kiedy w kuchni pachnie praniem, dzieci wszystkim wzięła w drogę, a czas zatrzymuje się i żadnym przyjemności nie ma w programie. Wprawdzie dziewczynki wiedziały, że jutro stanie się coś niezwykłego, ale trzeba było poczekać długo na to czekać, toteż jeszcze ział nudą i światło lampy ulicznej było młde i nieruchome.

List z LONDYNU

NIE TYLKO ABY SŁUCHAC

JOSEPH Emberton żywi przekonanie, że ludzie chodzą na koncerty z zamiłowaniem do towarzyskich spotkań w równej mierze, jak z upodobania do muzyki. Będąc architektem, planującym nową, wielką salę koncertową, która zastąpić ma zbombardowany Queens Hall, Emberton daje praktyczny wyraz swemu przeświadczeniu. Nowa hala, której budowa rozpocznie się w przyszłym roku, zawierać będzie nie tylko salę koncertową na 4000 miejsc. Pozostała przestrzeń wewnętrzna przeznaczona będzie na foyer, korytarze i restauracje o wymiarach nie spotykanych dotąd w tego rodzaju gmachach.

Całość kosztować będzie około 700.000 funtów. Akustyka sali koncertowej ma być tak dobra, że nikt ze słuchaczy nie będzie pokrzywdzony, bez względu na cenę biletu. — A jeśli pięknym paniom nie zależy na słuchaniu — powiedział mi Emberton — będą miały dość miejsca, by jak najefektywniej zademonstrować swe toalety.

NIEZWYKŁY RACHUNEK

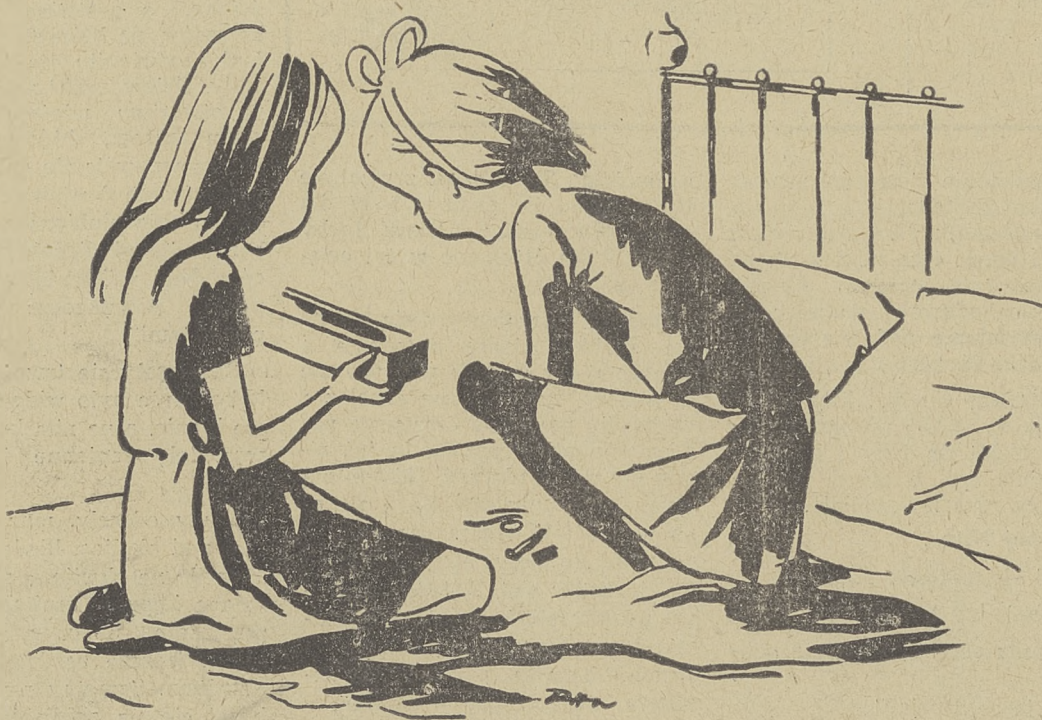
KIEDY ekipy BBC wyruszają w teren, aby utrwalac na taśmie dźwiękowej materiały do najrozmaitszych słuchowisk i programów, narażone bywają na dziwne i nieprzewidziane wydatki. Niektóre z pozycji ich rachunków rzadko tylko można spotkać w księgach kasowych. Rekord jednak pod tym względem pobili Tony Dean, pracownik studia w Nairobi, który przed Bożym Narodzeniem wysłany został do Hongwa, — centrum Akcji Uprawy Orzeszka Ziemi, Dean miał utrwalic na ta-



śmie dźwiękowej. Cała programu BBC pt. Dobrzy sąsiedzi, na wypadek gdyby w dzień wigilii nie dało się urządzić transmisji wprost z Tanganyiki. Kiedy wykaz kosztów podróży Deana nadszedł do Londynu, buchalterom BBC, przyzwycajonym już do niejednego, oczy wyszły na wierzch. Jedna z pozycji rozliczenia brzmiała: grzesność zrobiona wodzowi plemienia Nqoma za urządzenie pokazu tańców obrzędowych: dwie krowy à 90 szylingów = 9 f.

JAK WAM SIĘ PODOBA

W roku 1841 zmarł Sir Francis Chantrey, słynny rzeźbiarz brytyjski, zapisując Akademii Królewskiej poważną sumę 105.000 funtów. Z procentów od tego kapitału (dochodzących obecnie do 200 funtów rocznie), Akademia zakupować miała, w myśl życzenia ofiarodawcy, „najwartościowsze prace artystów brytyjskich” i wystawiać je w Tate Gallery. „Prace artystów brytyjskich” były więc od r. 1877 skrupulatnie zakupowane, mało które jednak dotarły do Tate Gallery, mało kto wiedział też do niedawna, jak tam naprawdę było z ich wartością. Aż pewnego dnia — wetknięto kij w mrowisko. Akademia Królewska wystawiła niedawno w Burlington House całą kolekcję Chantreya, liczącą już obecnie ponad 400 obrazów. W prasie zawrzało. Krytycy zaczęli skakać do oczu Akademikom. Znaczący rozdarli szaty, Akademicko zarzucono zły gust, „akademickość” w wyborze „najwartościowszych obrazów” i brak zrozumienia dla istotnych, żywotnych elementów malarstwa brytyjskiego na przestrzeni reprezentowanej przez kolekcję epoki. Głęboko dotknięty prezes Akademii Królewskiej, Sir Alfred Munnings, odpowiedział na te skargi obietnicą wypłacenia 100 funtów malarzowi, który potrafi zrobić chociażby dobrą kopię któregoś z wystawionych obrazów. A publiczność? Publiczność, jak to często bywa, pozostała idealnie odporna na agitację krytyków zawodowych i codziennie zalega tłumnie sale Burlington House, aby napatrzyć się do syta „ładnym” obrazom, które nareszcie „coś przedstawiają” i na których „wszystko jest jak żywe”. Są tam przecież „Czaty” Johna Pettie, „Claudio i Izabella” Holmana Hunta, „Cromwell pod Dunbar” Andrew Gowsa, prace Leightona, Millaisa Watta, Colliera i tylu innych, znanych, ulubionych, i... zrozumiałych.



działa coś, co było przecież takie proste, ale dwóm dziewczynkom wydawało się niesłychanym wprost odkryciem.

„Chłopcy to zrobili”, — rzekła — „A my zrobimy to chłopcom”.

Obie dyszały z podniecenia. Nita zakryła ręką usta. Czula, że musi się rozplakać, albo się roześmiać, coś ją rozparowało. Ale powiedziała tylko cichym, niezupełnie swoim głosem:

„Cóż więc zrobimy?”

Dosia roześmiała się i krzyknęła uradowana.

„Odpłacimy tym chłopakom”.

„Ale jak? jak?” — szepnęła Nita, która już wiedziała.

„Tak samo, tak samo!” — pisz-

„Gdzie twój piórnik? Będzie nam potrzebne „już wiesz co?”...

Nita przygasała nagle, jak gdyby chcąc coś zataić. Zaczęła kręcić się niespokojnie, potem spojrzała na Dosie pełnymi łez oczami. — „Zapomniałam, przecież nie mam tego wcale”.

Dosia podskoczyła oburzona.

„Gdzież on jest. Gdzież jest?” — A kiedy Nita, zmartwiona, wskazała w stronę umywalni, gdzie między mydlniczką, a dzbankiem sterczał drewniany piórnik, przebiegła przez pokój i otworzyła pudelko w oka mgnieniu. Wewnątrz było dużo płam aramentu, zielona kulka, kawałek różowej, podziubanej ołówkiem gumy i dwie spiniki do włosów. Dosia odwróciła się zrozpaczona.

Wysłane wcześniej do łóżka, jak tylko zapadł wrześniowy zmrok, umyły się i przytuliły do siebie na ogromnej poduszce. Skubały nerwowo brzoę prześcieradła wygniatały doliny w poduszce i gadały, gadały bez przerwy. Słowo po słowie omówiły dokładnie swój zuchwały zamiar, ale wszystko trzeba było powtarzać w kółko, a za każdym razem jakiś nieprawdopodobnie jaskrawy obraz ssał im przed oczami.

„Kiedy pójdziemy do sklepu?” — szeptała Nita.

„Na pauzie”.

„O co będziemy prosić?”

„O krede”.

„Za dwa grosze?”

(Dokończenie na str. 10)

ORYGINAŁ „ALI W KRAINIE CZARÓW” WRACA DO ANGLII

Bajka „Ala w krainie czarów” napisana w drugiej połowie XIX wieku przez Lewis Carrolla i przetłumaczona na wiele języków, jest do dziś dnia jednym z klasycznych opowiadań dla dzieci. Pierwotną wersję tej bajki pod tytułem „Przygody Ali pod ziemią” — z której reprodukowujemy dwie ilustracje — napisał Carroll w r. 1862 dla małej Alicji Liddell, którą bardzo lubił. Autor opowiada o Ali, która spotyka pięknie ubranego Białego Królika, wąż z nim do jego nory i trafia do podziemnego świata, pełnego fantastycznych, gadających zwierząt, żywych kart do gry itp.

Carroll zaopatrzył opowiadanie własnymi rysunkami, a kiedy później rozszerzył tekst, obrazki do baj-

are farrets! Where can I have dropped them, I wonder?” Alice guessed in a moment that it was looking for the missing and the pair of white kid gloves, and she began hunting for them, but they were now nowhere to be seen — everything seemed to have changed since her swim in the pool, and her walk along the river-bank with its fringe of rushes and forget-me-nots and the glass table and the little deer had vanished.

86



87

ki zrobił sławny ilustrator, Sir John Tenniel, opierając się na szkicach Carrolla.

Oryginał rękopisu „Ali” dostał się przed wojną do Stanów Zjednoczonych, a ostatnio zakupiło go tam anonimowo trzydzieści osób, które złożyły go w darze British Museum w Londynie. Kustosze biblioteki amerykańskiego kongresu, Luther Evans, który dar ten złożył, powiedział, że zwrot rękopisu jest pewnego rodzaju odszkodowaniem kulturalnym ze strony kraju, który nie powinien był zabierać W. Brytanii tej cennej pamiątki. Ofiarodawcy pragną w ten sposób wyrazić uznanie dla odwagi, którą W. Brytania wykazała podczas dwóch wojen światowych, walcząc w obronie wolności.

86

the Mock Turtle had just begun to repeat it, when a cry of "the trial's beginning!" was heard in the distance.

"Come on!" cried the Gryphon, and, taking Alice by the hand, he hurried off, without waiting for the end of the song.

"What trial is it?" panted Alice as she ran, but the Gryphon only answered "come on!" and ran the faster, and more and more faintly came, borne on the breeze that followed them, the melancholy words:

"Soo-oop of the e-e-evening,
Beautiful beautiful Soup!"

The King and Queen were seated on their throne when they arrived, with a great crowd assembled around them: the Knave was in custody: and before the King stood the white rabbit, with a trumpet in one hand, and a scroll of parchment in the other.

"Herald! read the accusation!" said the King.

On this the white rabbit blew three blasts on the trumpet, and then unrolled the parchment scroll, and read as follows:

(dokończenie ze str. 9)

„Za pięć, za całe pięć groszy!”

Zaczęły chichotać, lecz Nita nagle spoważniała. W głowie jej brzmiał przesłuch, który zdawała się jeszcze umyślnie podkreślać.

„A co będzie, jeśli ktoś zobaczy? Co będzie, jeśli któryś z chłopców wyskoczy zza rogu właśnie wtedy i zobaczy?”

Dosia zachłystnęła się przejęciem i wysuwając język w ciemności:

„Weźmiemy noży za pas i damy drapak!”

Rozmawiały z długimi przerwami, podczas których leżały cicho, pogrążone w rozmyśleniach. Myśli ich pędziły z zawrotną szybkością, wyprzedzając powolne minuty,

ay, a monotonię ciemności przerywał tylko dochodzący z dołu odgłos kaszlu matki Nity, czy szelest czytanej przez ojcę gazety. Przez uchylone drzwi wpadało światło z klatki schodowej, rzucając na sufit jasną plamę, podobną do czapki pajaca. Pachniało mydłem.

Po dłuższej chwili, kiedy już prawie spały, Dosia przysunęła się jeszcze bliżej do Nity i szepem powiedziała coś, o czym, jak się zdaje, bez przerwy myślała.

„Słuchaj Nito...”

„Co?” — szepnęła Nita.

„Słuchaj, czy ty... czy ty?”

Nastąpiła straszliwie długa pauza.

„Czy ja co, Dosiu?”

Dosia wyrzuciła jednym tchem:

„Kochasz Stacha?”

Poduszka poruszyła się, i Nita ukryła w niej cwarz, zaciskając zęby, żeby się wstrzymać od powiedzenia czegoś, od płaczu, od śmiechu, od krzyku, od zdradzenia się cokolwiek nawet w ciemności. Ciemność wydawała się palącą, jak rumieniec. Po chwili podniosła głowę i zaśmiała się.

„Kto, ja? Za kogo mnie bierziesz?”

Następny dzień był równie szary i chmurny, jak poprzedni. Błady dym z kominów rysował na niebie jasne smugi, prawie że białe na tle zamierającej zieleni: buków; potem dym kładł się nad dachami, jak gdyby jakiś olbrzymi, niewidzialny ptak skrzydłem go

zdmuchnął. Słaby wiatr zrywał się co chwila, ale chmury były dla niego zbyt ciężkie. Szare dachy zdawały się błyszczeć w tej ociążonej szarzyźnie.

Dosia i Nita obudziły się o świcie szybko zjadły śniadanie i wcześniej niż zwykle wybrały się do szkoły. Przed bramą szkolną i na boisku panowała olbrzymia pustka, jak gdyby nikt się tu już nigdy nie miał zdarzyć. Nikogo nie było, drzwi były otwarte, a złocone wskazówki zegara spoczywały na wpół do dziesiątej. Zdawało się, że zegar stoi. A kiedy wreszcie zjawili się inne dzieci, najpierw schodzące się powoli, potem żrzące biegiem, i szkoła się zapęłniła, drugi zegar w pobliskiej klasie zdawał się także co chwilę zatrzymywać. Rannek włócił się w nieskończoność, aż wreszcie dobiegł do jedenastej.

Już o pół do jedenastej podniecenie znów ogarnęło dziewczynki. Czuty na sobie wzrok innych dzieci, a tajemnica ich nabrała olbrzymich rozmiarów. Nita z nosem w książkę co chwilę się czerwieniła, przekonana, że wszyscy o wszystkim wiedzą, że się na nią patrzy i że się z niej wysmiewają. Ale kiedy się rozejrzała po klasie z rozczarowaniem stwierdziła, że nikt wogóle nie zwracał na nią uwagi. Była już za 25 jedenastą. Wkrótce ta rzecz miała się stać i chyba wszyscy o tym wiedzą. Za 5 jedenastą dziewczynki spojrzały jedna na drugą, potem na zegar. Zdawało się, że godzina nigdy się już nie skończy, kiedy na-

gle stał się cud. Nauczycielka zamknęła książkę, z której czytała i także spojrzała na zegar. Wskazówka w tej chwili przeskoczyła o całą minutę i to widocznie sprawiło, że uśmiechnęła się i powiedziała:

— „No dobrze. Idźcie już, ale spokojnie dzieci.”

Dziewczynki doszły spokojnie do drzwi, potem jednak pędem puściły się już po schodach, przez bramę, na chodnik, i dalej, nie zatrzymując się, aż przed sklepem. Nita wyjęła rozgrzane grosze i zaczęła na Dosię na ulicy. Dzwonek nad drzwiami sklepu zadzwieczał jak sygnał tramwajowy, o wiele za głośno i tak przeraźliwie, że przestraszona Nita rozejrzała się po ulicy. Jeżeli chłopcy posłyszeli, od razu się domyślą, — napewno, napewno! Ale tylko jakiś żołnierz w wyblakłym mundurze siedział na ławce obok dwóch starszych pań z koszykami w ręku. Panie te patrzyły na kota ocierającego się o spódnicę jednej z nich. Jedna z pań zaśmiała się i pogładziła kota łaską. Ulica zdawała się wymarła. Nie było widać samochodów ani rowerów, a pustkę podkreślał jeszcze odgłos śmiechów dziecięcych, rozlegających się echem z boiska za zakrętem. Dzwonek zadzwieczał znowu i Dosia wypadła ze sklepu, przyciskając do piersi jakiś mały przedmiot. Skinęła energicznie głową i chwyciła Nitę za rękę, ciągnąc ją w kierunku, w którym jej rozpedzone nogi zdawały się już biegać. Popędziły razem, oddalając się od szkoły, a Dosia szepnęła:

— „Dała mi żółte i białe kawałki, całą masę, chodź prędko...”

Ulica prowadziła stromo pod górę aż do szpitala wariatów. Fioletowo-zielona wieża szpitalna górowała nad okolicą i zdawała się bardzo blisko, ale mur szpitala był jednak jeszcze daleko. Chodnik skończył się nagle i dzieci znalazły się za miastem. Pędziły dalej, na wyścigi z czasem, było przeciw tylko 15 minut przerwy. Dobiegły w końcu do miejsca, gdzie zarosnięty krzewami teren podchodził pod wysoki mur szpitalny.

Teraz ruszyły ścieżką zarosniętą trawą, pełną zapachu wilgotnej ziemi. Nagle wyrósł przed nimi mur, a ścieżka prowadziła dalej między wysoką, czerwoną, zakończoną u góry ostrymi kolcami ścianą, a gestwiną splątanych krzewów, na których ciemnej zieleni czerwieniły się jesienne jagody. Dziewczynki zatrzymały się na otwartym miejscu przed samym murem, którego wysoka ściana wznosiła się groźnie ponad otaczającym krajobrazem. Miejsce to było ulubionym celem spacerów dla okolicznych mieszkańców. Nita wskazując na mur szepnęła podniecona: — „Patrz, patrz, tam!”

Rozejrzały się trwożnie dokoła. Nikogo nie było widać, tylko puste błonie, a na nim krzaki żarnowca, doły wapienne i sucha trawa.

Kiedy odeszły, mur dalej sterczał nad okolicą. Białe słońce zaświeciło na chwilę, a zielona miedziana kopuła szpitala zabłysła przelotnie, po czym zrobiło się szaro, jeszcze bardziej szaro niż przedtem. Samotny rowerzysta ukazał się na pobliskiej drodze i jechał powoli, podskakując na wybojach jak pajac na sznurku. Liście na drzewach zwisały nieruchomo, zadrżenie strzegąc zieleni, którą wkrótce miały utracić. Mur dalej wznosił się samotnie wśród otaczającej go pustki, ale na murze bieleły teraz dwa napisy. Niewprawną ręką kreślone litery, nagie i zimne na purpurowej cegle, oznajmiały światu, że:

NITA HOBBS KOCHA STACHA CHUTERA.

Mocna krecha przekreślała te słowa, a pod nimi, żółtą i białą kredą wymalowano energiczny protest:

TEN KTO TO NAPISAŁ MA BZIKA!

(Hogarth Press)

Nowiny
Wydawnictwa

Socjologia i historia

Economic Survey 1919—1939 (Przegląd Gospodarczy 1919—1939). W. Arthur Lewis. Wyd. Allen and Unwin. Cena 15 szylingów.

Analiza gospodarcza dwudziestolecia międzywojennego. Autor ujmuje ten okres z perspektywy minionych lat i w świetle najnowszych badań ekonomicznych. Część pierwsza zawiera omówienie skutków pierwszej wojny światowej, odbudowy produkcji i handlu i kryzysu lat trzydziestych. Część druga jest opracowaniem wsłusków, jakie wyciągnąć można z eksperymentów ekonomicznych różnych państw w latach 1930. Część trzecia zajmuje się prądami ekonomicznymi, jakie wpływają na rozwój współczesnego świata.

*

Instead of Arms (Zamiast broni). H. Folke Bernadotte. Wyd. Hodder i Stoughton. Cena 12 szylingów 6 pensów.

Książka ta, która jest wyznaniem wiary jej miłującego pokój autora, została wydana na dwa dni przed zamordowaniem hr. Bernadotte.

Literatura i sztuka

Four Centuries of Fine Printing (Cztery wieki sztuki drukarskiej). Stanley Morison. Ilustr. Wyd. Ernest Benn. Cena 30 szylingów.

Szczegółowe opracowanie historii druku, którego zasługi były dotąd niedoceniane. Książka zawiera 272 ilustracje przedstawiające próbki druku wykonane przez prasy różnych krajów w okresie od 1465 do 1924 r. Autor jest od roku 1929 dotychczasowym Timesa, i uznawany jest za wybitnego autorytet w tej dziedzinie.

*

Poetry of the Present (Poezja teraźniejszości). Opracował Geoffrey Grigson. Wyd. Phoenix House. Cena 10 szylingów 6 pensów.

Zbiór wierszy poetów współczesnych (urodzonych po roku 1904), ułożony i opracowany przez Geoffrey Grigsona poetę i krytyka. Obok utworów słynnych już ludzi, zbiór zawiera też pozycje dotychczas nieznanne. Przedmowa Grigsona jest wykładem jego własnych poglądów na poezję i drogi jej rozwoju po r. 1930.

Technika

Principles and Practice of Radar (Zasady i działania radaru). H. E. Penrose. Ilustr. Wyd. Newnes.

Wyjaśnienie zasad działania radaru w kolejności, która pozwala na szybkie opanowanie przedmiotu.

*

Wireless for Beginners (Radio dla początkujących). C. L. Boltz. Wydawnictwo nowe. Wyd. Hamap. Cena 7 szylingów 6 pensów.

Zawiera najnowsze informacje o falach ultra krótkich, falach centymetrowych, lampach katodowych oscylografach katodowych, telewizji i radzie.

Sport

British Olympic Association's Official Report of the XIV-th Olympiad (Raport Brytyjskiego Towarzystwa Olimpijskiego z XIV Olimpiady). Ilustr. Wyd. World Sports. Cena 5 szyl.

Księga XIV Olimpiady, zawierająca opisy i wyniki wszystkich rozgrywek i korekacji. Szczególnie wiele miejsca poświęcono zawodnikom brytyjskim, których kompletna lista została zamieszczona w książce. Raport zawiera również wypowiedzi uczestników na temat wszystkich 17 rodzajów sportu, reprezentowanych na Olimpiadzie, oraz zdjęcia kolorowe i czarno-białe. Przedmowy napisał: prezydent międzynarodowego komitetu olimpijskiego J. Sigrid Eostrom i przewodniczący Igrzysk Londyńskich, Lord Portal.

Redakcja ma w zapasie bardzo ograniczoną ilość pięknie oprawionych w granatowe płótno roczników „Głosu Anglii” (1948 r.)

Cena jednego rocznika 4.000 zł.

Wysyłamy za pobraniem pocztowym

PRENUMERATY POCZTOWE

Zawiadamiamy, że przy prenumeracie od 20 egzemplarzy wwyż, (dla szkół, instytucji etc.), udzielamy zniżki 20%. Przy zamówieniach do dalszej rozsprzedaży (księgarnie, kioski i t. p. punkty sprzedaży) 33% rabatu. Zgłoszenia:

Redakcja „GŁOSU ANGLII”
Kraków, Garmcarska 14/2

LEPSZE JUTRO

Ostatnia sztuka J. B. Priestley'a „Home is Tomorrow” (Lepsze Jutro), grana w Cambridge Theatre w Londynie stała się przedmiotem ożywionej dyskusji: — niektórzy krytycy orzekli, że sztuka jest nudna, inni, że jest niezrozumiała, jeszcze innym jednakże bardzo się podobała. Podajemy poniżej poglądy znanego brytyjskiego krytyka teatralnego, Huberta Griffitha, oraz artykuł Priestley'a, który pisze o tym, co zamierzał w swej najnowszej sztuce przedstawić.

SKARBY I ŚMIECIE
Hubert Griffith

Słynna aktorka, Edith Evans wystawiła kiedyś w Londynie pewną sztukę, święcie przekonana o jej wysokiej wartości. Sztuka ta została jednakże nienależnie, ale zasłużenie skrytykowana, była bowiem straszliwie nudna. (Znakomite aktorki nie zawsze są nieomyłne, kiedy chodzi o sąd nad utworami dramatycznymi). Nazajutrz po premierze Edith Evans w następujący sposób przemówiła do swego zespołu aktorskiego: „Nic sobie z tego nie robię, że niektórzy krytycy uważają tę sztukę za złą — publiczność albo się z nią zgodzi, albo i nie. Ale wszyscy bez wyjątku mówią, że sztuka jest nudna i to ją kładzie! Bardzo mi przykro, ale będziemy ją grać tylko do końca tygodnia”.

Coś podobnego można by powiedzieć o ostatniej sztuce Priestley'a „Lepsze Jutro”, która szła w Londynie tylko przez kilka tygodni, ale sąd taki nie byłby w stu procentach słuszny, ponieważ główny temat sztuki jest ciekawy, a liczne, nawet bardzo liczne sceny są prawdziwie i głęboko przejmujące. Jednakże wtrącone niepotrzebnie sceny miłosne, przerywają tylko tok akcji i przeszkadzają widzowi — lepiej byłoby w ogóle zapuścić kurtynę na czas ich trwania. Moim zdaniem sceny te, oraz zasadniczy błąd w konstrukcji: próba połączenia dwóch tematów, nie mających ze sobą nic wspólnego, oto powody, dla których sztuka nie może mieć powodzenia.

Ze Priestley błąd taki popełnił, jest istotnie bardzo dziwne.

Wiele lat temu napisał on swój pierwszy utwór sceniczny „Dangerous Corner” (Niebezpieczny zakręt), w którym nie przedstawił żadnego „wielkiego zagadnienia”, ale tylko szczytowe nasilenie pewnych rodzinnych zawiłości. Sztuka ta jednakże była arcydziełem konstrukcji dramatycznej i dramatycznego napięcia — przedstawienie minęło szalenie szybko, i zdawało się, że trwa zaledwie pół godziny. Priestley dowiódł wówczas raz na zawsze, że technika pisania dramatów to nie jakaś tajemnica, ponadczłowiecka niemal magia, do opanowania której potrzeba całych lat ciężkiej pracy. Napisał on bowiem swą sztukę w czasie, gdy był wyłącznie krytykiem literackim i powieściopisarzem.

Obecnie, po dwudziestu latach doświadczeń scenicznych, mając pod ręką prawdziwie ważne i dramatyczne zagadnienie, sprzeniewierzył mu się do tego stopnia, że uznał za stosowne podeprzeć sztukę wtrąconymi scenami, które mimo całej ich szczerości, wydają się po prostu bezwartościowym śmieciem. Czyż możliwe, że Priestley słyszał, a co gorsza, że uwierzył, że widz londyński nie wytrzyma przedstawięcia pozbawionego intrygi miłosnej? Ileż to razy już pogląd ten okazał się z gruntu fałszywy! Tak czy inaczej sztuka Priestley'a posiada dwa równoległe wątki. Kiedy

na scenie rozwijał się wątek główny, słuchałem, wraz z całą widownią, z najwyższym zaciekawieniem. Sir Edward Fortrose, znakomity typ wysokiego urzędnika brytyjskiego, bystry, bezinteresowny, inteligentny i idealista zarządzający z ramienia jednej z placówek O. N. Z. jakąś pół dziką wyspą na morzu Karaibskim. Do personelu jego należał lekarz Czech, pedagog Chińczyk, młody intelektualista Francuz itd. — jest to więc prawdziwie międzynarodowy zespół. Sir Edward raz po raz powtarza swoje credo: „musimy wyzbyć się naszego nacjonalizmu; Musimy wyrobić się na przedstawicieli światowej współpracy”.

Fortrose walczy z różnymi trudnościami, przeciwdziałając mu bowiem wrogie czynniki, przede wszystkim opozycja niegodziwego, wszechobecnego „wielkiego biznesu”, który chce eksploatować dla zysku bogaćta mineralne wyspy. Ma też przeciwko sobie miejscowego gangstera, który dąży do zawładnięcia wyspą dla własnych podejrzanych celów i posuwa się aż do zamordowania Sir Edwarda.

Wszystko to ładnie i pięknie — temat jest nie tylko dramatyczny, ale inteligentnie dramatyczny. Priestley widocznie głęboko przemyslał cały problem międzynarodowej współpracy, a podczas licznych swych podróży miał sposobność zapoznania się bezpośrednio z tym zagadnieniem i przedyskutowania go z ludźmi, którzy próbują współpracę taką wprowadzić w życie. Temat ten potraktowany na takiej płaszczyźnie byłby zupełnie wystarczający jako treść sztuki teatralnej, materiał jest bowiem tak obfity i emocjonujący, że z początku przedstawienia nie mogłem zrozumieć, jak autor zdoła wtłoczyć go w ramy jednego wieczoru.

Priestley nieustannie w następnych aktach rezygnuje z czerpania chociażby połowy zagadnienia i gubi się, wprowadzając najzupełniej zbędne sceny miłosne. Amerykańska sekretarka kocha się bez nadziei na Sir Edwarda, którego żona, lady Fortrose, nie kocha męża, natomiast chce tańczyć i bawić się z miejscowym Don Juanem. A przez ten czas główny temat sztuki, którego rozwinięcie zrobiłoby z niej dramat głęboki i oryginalny, jest zupełnie zapomniany, następuje strata tak cennego w teatrze, czasu. Żadne ciekawe przedstawienie nigdy nie wydaje się przydługie, ale każda nudna scena wlecie się bez końca.

Krótko mówiąc, Priestley ma dziwną umysłowość. Pod pewnymi względami umysłowość ta, jeśli nie jest niezwykle wybitna, to w każdym razie jest jedyną, przedsiębiorczą i interesującą. Z drugiej strony, tam gdzie chodzi o subtelniejsze, emocjonalne aspekty życia, Priestley zdradza coś w rodzaju zwykłej tępoty. Żadna z kobiecych postaci w tej sztuce, nawet w chwilach wysokiego psychicznego napięcia nie wypowiada ani jednego zdania, które byłoby niebanalne czy godne zapamiętania.

Po premierze Priestley wygłosił dość frapujące przemówienie. Powiedział widzom między innymi, że jeśli tego wieczoru nie zdołał dostatecznie docenić jego dowcipów, to powinni raz jeszcze przyjść na to przedstawienie, by się na nim lepiej poznać. Słowa te można było zrozumieć jako przytyk ze strony autora, który sądził, że widownia jest jakaś dziwnie uparta. Wśród widzów jednak nikt nie jeden z nich zdaje się uważać, że z kilku wyjątkami dowcipy Priestley'a nie są zbyt udane.

J. B. PRIESTLEY

O CO CHODZI W MOJEJ OSTATNIEJ SZTUCE

„Lepsze Jutro” to sztuka o nieistniejącej, specjalnej placówce ONZ, działającej pod nazwą Organizacja Zadowolonych Obszarów. Nie jest to jednakże dramat polityczny. Rzecz dziwna, że ile razy piszę coś nowego dla teatru, niektórzy krytycy mówią: „Dzięki Bogu, że to nie jedna z tych politycznych sztuk Priestley'a”. Dziwnie mnie to, ponieważ nigdy nie napisałem żadnej politycznej sztuki.

„Lepsze Jutro” zajmuje się zarówno publicznymi jak i prywatnymi sprawami, ale nie staje się przez to dramatem politycznym. Powiedziałbym, że podchodzę do tych spraw z nastawieniem filozoficznym (co nie znaczy wcale, że sztuka jest nudna). Zaczynam w niej, i to dość dramatycznie, mam nadzieję, o szereg najważniejszych zagadnień, z którymi świat dzisiejszy ma wciąż do czynienia. Różni ludzie dyskutują nad tym, co ta sztuka ma znaczyć — niektórzy pytają mnie, jaka „misja” kryje się w jej założeniach i wtedy muszę im tłumaczyć, że gdybym miał powierzona sobie jakąś misję, to bym ją wypełnił, nie zaś pisał sztukę.

Z drugiej strony nie zawiesiłem jej w jakiejś dziwnej, odległej od rzeczywistości świata próżni, ale umieściłem ją właśnie w naszym świecie i w atmosferze mojej własnej myśli i uczucia. Toteż jeżeli powiem tu parę słów o tym, co tymi czasami myślę i czuję, to zbliżyłbym się bardziej do treści tej sztuki, niż gdybyśmy ją rozpatrywali pod kątem nieokreślonych bliżej „misji”.

Przed wszystkim więc nie straciłem wiary w ideały Narodów Zjednoczonych i mocno wierzę w wartość specjalnych agend O. N. Z. Działalność ich, moim zdaniem, jest o wiele poważniejsza, niż się to różnym ludziom wydaje. Są one bowiem szkieletem ministerstw przyszłego światowego rządu. Są krosnami, na których materiał prawdziwej społeczności światowej mogłyby zostać utkany. Człowiekami wydaje mi się, że zbyt jaskrawe reflektory skierowujemy na kłóliwych ministrów spraw zagranicznych i na wielkie konferencje, a nie zwracamy dość uwagi na to, co się dzieje w łonie specjalnych agend O. N. Z., jak Żywności i Rolnictwa, Światowego Zdrowia, Międzynarodowej Organizacji Pracy, czy w organizacjach Oświatowej, Społecznej i Kulturalnej i wszystkich innych.

Wreszcie powinniśmy położyć nacisk na tworzącą współpracę i przestać myśleć o świecie kategoriami walki o władzę. Jedną ze słabych stron naszej epoki jest to, że tak często przedstawicielami naszymi są demokratyczni politycy, wielcy kapitaliści, czy urzędnicy — których światopogląd ukształtował się pod wpływem ich własnej walki o władzę. Co za tym idzie,

wierzą oni, że nic nie da się uzyskać w inny sposób, jak drogą zwiększenia władzy. I z tego właśnie targowania się o władzę wynika największy procent trudności.

Główna postać mojej sztuki, Fortrose, jest przedstawicielem nowego, lepszego nastawienia. Nie myśli on kategoriami władzy, ale twórczej pracy. Jest nowego typu patriotą świata. Świadomie zrobiłem z niego idealistę i romantyka, po części dla dramatycznego kontrastu, ale także dlatego, że wierzę, iż tacy ludzie, a jest ich bardzo dużo, mimo że rzadko kiedy się o nich słyszy, potrzebują duchowego odnowienia, które daje afirmacja wiecznych wartości. Jednakże Fortrose nie jest pozbawiony własnego realizmu. Kiedy odpowiadając staremu, zachłannemu na władzę, cynikowi mówi: „Staram się żyć wiarą, nadzieją i miłością — czynię innym można żyć?” stawia istotnie bardzo mocne pytanie. Powinniśmy bowiem już wreszcie wiedzieć, dokąd prowadzi odrzucenie tych wartości. Widzieliśmy przecież zgłiszczą i obcy koncentracyjne.

Żyjemy w świecie, w którym załudnienie wzrasta, a zasoby żywności się kurczą. Już teraz jest wątpliwe, czy nasze prawnuki będą kiedykolwiek mogły najść się do syta. A pewne jest, że jeżeli ten rozpaczliwie naglący problem załudnienia i żywności nie zostanie rozwiązany, ludzkość już w najbliższej przyszłości, gnana głodem ziemi, rzuci się w zamęt olbrzymich, szaleńczych wojen, które z kolei zmienią całe państwa w pustynie. Już teraz, rozgrywając odwieczny zatarg o władzę za parawanem sprzecznych ideologii, państwa pilnie intrygują i zbroją się, zamiast na światową skalę współpracować w gospodarowaniu swymi bogactwami, w zapobieganiu ubożeniu gleby, w zwiększeniu jej urodzajności i w znalezieniu jakiegoś rozsądnego rozwiązania kłopotliwej ludnościowej. Należy dziś są podobne do ludzi, którzy znaleźli się na morzu w łodzi i sprzecząc się o jakąś grę w karty, kiedy błąd ze słodką wodą cieknie, a zalewająca łódź fala zabiera i tak skąpe zapasy żywności.

Twierdząc z całą powagą, że stoimy obecnie w obliczu dwóch alternatyw: albo będziemy twórczo współpracować, nie tylko jako członkowie jednej narodowej czy politycznej grupy, ale jako ludzie, albo narazimy cały dorobek naszej kultury na straszliwy upadek. Musimy się zdobyć na zupełnie nową postawę, nie skazaną na targami o władzę, cynizmem czy też ciasnym fanatyzmem. A jeżeli „Lepsze Jutro”, prócz możliwego do przyjęcia dramatu, da ludziom możliwość zapoznania się z tą nową postawą, będą ze sztuki tej dumny i zadowoleni.



Stały Czytelnik z Szopienic, Pierwsza sztuka G. B. Shawa nosząca oryginalny tytuł „Widowows Houses” (w tłumaczeniu polskim F. Sobieniowskiego — „Szczęśliwy Zaulek”) porusza bardzo śmiało — jak na ówczesne czasy — problem wyzysku i żerowania kapitalistów na nędzy ludzkiej. Ze względu na brak miejsca nie podaję dokładnego streszczenia sztuki, spodziewając się jednak że treść jej jest Redakcji znana ośmielałem się uprzejmie prosić o odpowiedź na pytania: 1) czy tego rodzaju zdarzenia mogłyby mieć miejsce w Anglii dzisiaj w roku 1949 czy też są ściśle związane z epoką w której powstał utwór, tj. 1885—1892, 2) czy gdyby dzisiaj wypadło grać ten utwór w teatrze, należałoby go grać w stylu epoki czy też można go aktualizować, grając w kostiumach współczesnych?

Sztuka, o której Pan wspomina, jest typowa dla okresu, w którym powstała i grana jest w W. Brytanii w kostiumach w stylu epoki. Oczywiście nie znaczy to, aby problem, który autor porusza był już na zawsze załatwiony i więc nieaktualny, poszczególnie jednak wydarzenia i wypadki są stanowczo anachronizmami na tle Anglii dzisiejszej.

G. T. i W. M. Łódź. Chodzimy z kolegą do wyższej Szkoły Handlowej i chcieliśmy właśnie napisać zbiorowo, żeby Redakcji osobnymi listami nie trudić. Chodzi o to, że mnie interesuje dział chemii przemysłu tekstylnego, a kolegę znowu głównie reklama, a właściwie urządzanie wystaw sklepowych i wystaw przemysłowych i ma mieć z tego referat. Widzieliśmy, że Redakcja zawsze odpowiada na wszystkie pytania także zupełnie fachowe, więc czy nie możnaby nam podać książek na ten temat, i wydawców, żebyśmy mogli sprowadzić. Na razie tylko po jednej książce prosimy, bo dopiero zobaczymy, czy damy sobie z nimi radę z powodu angielskiego.

Książkę dla chemików działu tekstylnego napisał S. R. Trotman, podajemy poniżej tytuł i wydawcę: Textile Analysis by S. R. Trotman, Wyd.: Charles Griffin & Co. Ltd., 42, Drury Lane, London W. C. 2. Książka kosztuje 28 szylingów.

Panu, którego interesuje urządzanie wystaw sklepowych, radzimy sprowadzić sobie książkę następującą: Selling through Display by Arthur Symes, Wyd. Council of Industrial Design, Tilbury Ho., Petty France, London S. W. 1. Cena 1 szyling, 6 pensów.

Wędkarz z Góry Kalwarii. Po przeczytaniu artykułu „Wędkarstwo w W. Brytanii” dowiedziałem się ku memu zdumieniu, że „najpopularniejsze jest chyba łowienie okoni” i że są to „bojaźliwe ryby”. W Anglii nie byłem, ale z literatury wędkarskiej wiem że najpopularniejsze tam, jak zresztą w Polsce jest łowienie płoci. Anglicy jakoby na połowy płoci wyjeżdżają na kontynent. Albo moje wiadomości o wędkarstwie w Anglii są błędne, albo tłumacz artykułu nie jest wędkarzem a usmażony okoni jest smaczniejszy od płotki. Upraszam o wyjaśnienie.

Nie wiemy, czy autor artykułu o wędkarstwie zna odpowiednią literaturę, w każdym jednak razie mieszka on w Anglii i stwierdził czarno na białym popularność łowienia okoni, oraz to, że są to „bojaźliwe ryby”. Być może są one w Kalwarii bardziej oswójone. Artykuł nasz zawierał jednak pierwotnie również wzmiankę o popularności łowienia płoci, która to wzmianka została opuszczona na skutek niedopatrzenia korektora. Może spieszył się on na ryby. W każdym razie fakt ten potwierdza prawdziwość informacji Pana. Jeśli chodzi o inne wyjaśnienia, to tłumacz nasz rzeczywiście nie jest wędkarzem tylko anglistą, co zaś do wyższości smażonych okoni nad płotkami, pozostawiamy sprawę tę do rozstrzygnięcia odpowiednim autorom tomu gastronomicznemu.



Scena ze sztuki Priestley'a „Lepsze jutro”. Leslie Banks (trzeci od lewej strony) w roli Sir Edwarda Fortrose.



„Lepsze Jutro” Priestley'a w teatrze Cambridge w Londynie.

ROBERT MULLER

„BORYS GODUNOW”

w Covent Garden

Z APOWIEDZ wystawienia „Borysa Godunowa” w operze Covent Garden w Londynie wzbudziła olbrzymie zainteresowanie krytyków i publiczności. Istniały po temu dwie przyczyny. Po pierwsze miano pokazać nieogładaną dotychczas w Anglii wersję tej opery, po drugie zaś miała to być pierwsza próba sił nowego kierownika produkcji Covent Garden, dwudziestotrzyletniego Petera Brooka.

„Borys” pojawił się ostatnio w angielskim repertuarze operowym w 1935 roku, czyli w 22 lata po jego pierwszym wystawieniu w W. Brytanii w londyńskim teatrze Drury Lane. W 1915 roku wystawiono pierwszą wersję Mussorgskiego (1869 r.) na drugiej londyńskiej scenie operowej w teatrze Sadler's Wells'a. Obecnie w 1948 roku, mieliśmy zobaczyć po raz pierwszy rozszerzoną wersję drugą, której premiera odbyła się na scenie teatru Maryinsky'ego w 1874 r. Ta druga spośród trzech wersji Mussorgskiego zawiera sceny polskie, dodane po odrzuceniu dzieła przez zarząd Teatru Imperialnego i kończy się sceną rewolucyjną zamiast sceny śmierci Borysa.

Peter Brook, który to specjalnie utworzone dla niego stanowisko w Covent Garden zawdzięcza dwóm wysoce oryginalnym i szeroko omawianym produkcjom w teatrze szekspirowskim w Stratford-on-Avon („Romeo i Julia” i „Stracone zachody miłości”) — podjął swe obecne zadanie z zapalem i nieustraszoną energią.

Przedstawienie publiczności brytyjskiej rosyjskiego dramatu czy opery stawia przed reżyserem szereg problemów do rozwiązania. Dzięki rozmaitości kostiumów i starannej charakterystyce musi on umożliwić brytyjskiemu widzowi odróżnianie poszczególnych osób, których nazwiska brzmią dla niego bardzo podobnie. Musi on też zaznaczyć swoje audytorium z epoką dramatu przez wyraziste nakreślenie tła rozgrywającej się akcji. Z tych wszystkich trudności Brook wyszedł zwycięsko. Nie tylko opowiedział historię poematu Puszkina z siłą i ekspresją, lecz usiłował także podkreślić panującą w czasach Borysa i Feodora warunki społeczne i religijne.

Niezależnie od tego „Borys” ze swymi dziewięcioma odsłonami, olbrzymim chórem, żywą akcją i głęboką psychologiczną, której brak w większości popularnych oper jest trudnym orzechem do zgryzienia dla młodego reżysera i daje szerokie pole działania jego pomysłowości.

W interpretacji Brooka dekoracje poszczególnych scen były ściśle uzależnione od prostego, surowego stylu muzyki. Kiedy kurtyna podnosi się w prologu, obraz dziedzińca klasztornego daje nam przedsmak tego, o co chodziło Brookowi. Zniknęły bajecznie kolorowe dekoracje, które zazwyczaj stanowią oprawę oper rosyjskich w większości krajów zachodnio-europejskich, czy to w „Królowej śniegu” (The Snow

Queen), czy w „Chowanszczyźnie”. (W Paryżu na przykład, gdzie widziałem „Borysa” w 1945 r., wystawiono tę operę w oślepiającej skalę cukierkowych barw błado niebieskich i czerwonych). Kolorystyka pierwszej sceny jest jednolita, dekoracje silnie architektonicznie powiązane. Motywy odziany w szare łachmany waleś się apatycznie tam i z powrotem postraj krata, wyobrażając bramę klasztorną. Przed kratą stoją oficerowie gwardii w czerwono-zielonych mundurach, trzymając w szachu napierający tłum. Kiedy brama zostaje otwarta, przestraszona gawiedź rzuca się przez żelazne odrzwia ku przodowi sceny. Kurtyna zapada się w półmroku, pozostawiając nastrój złowrobnego grozy.

W drugiej scenie prologu tradycyjna procesja koronacyjna, przesuwnąca się zazwyczaj przez scenę, jest opuszczona. W jej miejsce dekorator Wachewicz zbudował w środku sceny ogromne schody, znikające w rzeźbiście oświetlonej cykloramie. Po tych szerokich stopniach schodzi pochód dworski. Zawieszane w górze dzwony biją, gdy tłum wzywają na część nowego cara. Reżyser wprowadził tutaj niezupełnie szczęśliwą innowację, wzmacniając dźwięki dzwonów zawarte w partyturze Mussorgskiego przez bicie dzwonów za sceną.

Pierwszy akt, rozgrywający się w sali klasztoru w Czudowie, stawia przed reżyserem i dekoratorem trudny problem zbudowania maleńkiej celki na scenie, dorównującej rozmarami widowni Covent Garden. Rozwiązali go oni, wznosząc olbrzymią ścianę, pokrytą malowidłami bizantyjskimi, przedstawiającymi sceny biblijne. Dwa sklepienia po obu stronach ściany odsłaniały dwa długie korytarze, w których błyskawicznie zbiegające się perspektywywnie drobne światła z innych cel. W środku widzimy pustą poikoi, w którym Pimen widzi historię Rosji, a romantyczny Grzegorz marzy o potęgę, podziwując się pod zamordowanego carewicza Dymitra.

W następnej scenie nastrój muzyki, a wraz z nim i dekoracje zmieniają się zupełnie. Cisza (z nurtującym ją niepokojem) wyczuwana w cel Pimena ustępuje wrażeniu zawiadackiego szaleństwa, kiedy śledzimy Grzegorza w zajeździe na granicy litewskiej. Odrapane mury starej gospody pomalowane są różnymi odcieniami koloru szarego, co kontrastuje z bizantyjskim przepychem poprzednich scen.

W akcie drugim styl reżysera staje się wyraźniejszy i wyczuwa się już linię przewodnią spektaklu. Przepych średniowiecznej Rosji skonstruowany jest z nędznych życiem zastraszonego ludu, przytłoczonego przez otoczenie, utrzymywane przez swych władców w stanie ustawicznego głodu, uwikłanego w niewolę własnych zabobonów. Ciemne, wystraszone pospólstwo drży przed obliczem władzy, sam car zaś szaleje ze strachu przed Stwórcą.

Borys, prześladowany wyrzutami sumienia, przemawia do swych dzie-

ci w pustym pokoju pałacowym, w którym znajduje się jedynie teleskop, globus, krzesło i stół. W środku pokoju, który jest obserwatorium, umieszczonym tuż pod wieżą zegarową, widzimy misterny mechanizm jednego z pierwszych zegarów kurantowych, jakie sprowadzono do Rosji.

Kiedy car zostaje wreszcie sam, nastrój paraliżującego go strachu podkreślają żelazne okiennice, zamykające się wolno na olbrzymich oknach, pogrążając scenę w ciemności. Zegar zaczyna bić — jego niesamowity dźwięk potęguje przerażenie — a kiedy wahadło kołysze się złowrogo, ukazują się szydercze, zgłodniałe twarze motłochu. Wprowadzenie tej halucynacji jest jednym z najlepszych pomysłów reżysera. W wersji opery, jaką oglądałem w Paryżu, cara nawiedza duch zamordowanego carewicza, co stanowi najczęstszą interpretację tej sceny. Ukazanie się tłumowi podkreśla tutaj element świadomości społecznej, który Brook stara się wprowadzić do opery.

Dwie następne sceny rozgrywają się w Polsce, Mussorgski dodał je do pierwszej swej wersji, aby wprowadzić element kobiecy do opery, w której główną rolę odgrywają mężczyźni i sprawy polityczne. Interpretacja tych scen ściągła na Brooka więcej krytyk niż pochwał, i on sam przyznaje, że pozbawiają one operę dramatycznej jednoci. (Być może z tego powodu w kilku przedstawieniach zostały one opuszczone).

Najpierw widzimy więc księżniczkę Marynę na ogromnej huśtawce, kołyszącą się przez całą szerokość sceny i śpiewającą o swej nędzy. W następnej odsłonie bal wewnętrzny pokazuje nam sylwetkowo na tle wysokich okien, i cała scena rozgrywa się na tle poruszających się cieni.

W akcie końcowym rozmach całego ujęcia znajduje punkt kulminacyjny w scenie śmierci Borysa. Aby dać głęboką perspektywę scenie, reżyser usuwa bojarów, zostawiając umierającego w objęciach cara sam na sam z przerażonym synem, który bezradnie obserwuje jego agonie. Scena ta rozgrywa się znowu w ogłębionym pokoju ozdobionym bizantyjskimi dekoracjami. W głębi widzimy sześć par rozsuwanych drzwi rozmieszczonych w perspektywie. W miarę jak nadchodzi ostatnie chwile Borysa, ciężkie, złoczone drzwi zamykają się za nim jedne po drugich, a sama scena zdaje się kurczyć w spazmach klaustrofobii. Kiedy zatrząskują się ostatnie drzwi, ukazuje się na nich namalowana na ciemnym tle twarz Chrystusa trzymetrowej wysokości. Wszystkie światła gasną, a w ciemności błyszczą tylko jasne oczy tej twarzy spoglądające litośnie na rozciągniętą postać Borysa.

Na tym kończy się pierwsza wersja „Borysa” z 1869 r. Jednak w wersji obecnie wystawionej opera kończy się sceną rewolucji, co nadaje jej nowy wydźwięk, a widzowi



Balet ćwiczy wszędzie. Tym razem zespół wybrał sobie dla swych treningów skrawek wybrzeża w jednej z miejscowości nadmorskich Somersetu.

Balet

objazdowy

Długie kolejki entuzjastów baletu formujące się u drzwi teatrów przed rozpoczęciem przedstawienia oglądać można nie tylko w Londynie. Były one może typowe dla stolicy w przeszłości, kiedy Londyn posiadał niemal wyłączny monopol na dobre brytyjskie i zagraniczne zespoły, a mniejsze miasta prowincjonalne miały mało okazji do oglądania dobrego baletu.

Rozumiejąc niebezpieczeństwo tego stanu rzeczy, Rada Sztuki, która jest organem, cieszącym się poparciem rządu, postanowiła temu zaradzić. Objazdowe zespoły baletowe istniały oczywiście w W. Brytanii już przedtem, ale zazwyczaj odwiedzały one tylko miasta, które posiadały teatry odpowiednio dla nich wyposażone. Obecnie uformował się zespół Saint James Ballet, złożony z młodych i utalentowanych tancerzy, którzy mają już za sobą doświadczenia występów na wielkich scenach londyńskich, i których zadaniem ma być objeżdżanie ze specjalnie opracowanym repertuarem odległych zakątków kraju. Tańczą oni w miejscowych ośrodkach artystycznych, świetlicach, szkołach, pawilonach, kinach, na małych

scenkach teatrzyków amatorskich, w zasadzie wszędzie, gdzie może się zebrać liczne audytorium.

Przed wyruszeniem zespołu wprowadzono pewne konieczne zmiany, tak by występy taneczne mogły się odbywać w teatrach o ograniczonych środkach technicznych. Zamiast pokazywać skrócone wersje znanych baletów klasycznych, których piękno musiałoby uciec na zbyt wielu uproszczeniach, skomponowano nowe balety, których głównym choreografem jest dyrektor zespołu i pierwszy tancerz, Alan Carter. Akompaniament muzyczny zespołu ogranicza się do fortepianu, większość więc utworów muzycznych, które Carter wybrał dla swych baletów, była napisana na ten właśnie instrument.

Zespół nie pozostaje zwykle w jednym mieście dłużej, niż dwa tygodnie. Następnie pakuje się kostiumy, dekoracje sceniczne ładuje się na ciężarówkę i tancerze wsiadają do autobusu, który zawozi ich do miejscowości, gdzie projektują swój następny występ. Może to być wspaniałe kąpielisko morskie na południu Anglii, lub też drobny ośrodek przemysłowy na północy.



Po podwieczorku w przydrożnej gospodzie czas na ćwiczenia. Wjeżdżając przecież przedstawienie w sąsiednim miasteczku.



Cela Pimena. Projekt dekoracji I aktu „Borysa Godunowa” (1947—1948 r.).

zaś dostarcza dodatkowych wrażeń. Obraz ten, rozgrywający się na tle rozległego, szarego i groźnego nieba z ośnieżonym krzyżem przydrożnym po prawej stronie i wzbudzonym tłumem falującym po ogromnej scenie stanowi właściwe ukoronowanie przedstawienia.

Tutaj muzyczny element opery znajduje właściwe sobie miejsce. Tłum, który według słów Brooka stanowi „bohatera opery” dominuje wokalnie jak i wizualnie. Patetyczny lament idioty (opuszczonego na scenie, gdy spadające płatki śniegu zaczynają go oślepić) stanowi zakończenie wspaniałej i wspaniałej wystawionej opery.

Jest to najlepsze przedstawienie jakie widziałem w Covent Garden od zakończenia wojny. Wokalnie, być może, lepsza była opera w Paryżu, gdyż Paolo Silveri, doskonały Marceli z „Cyganerii” i wspaniały Rigoletto, nie posiadał potęgi głosu Szalipina w roli Godunowa. Najlepszym jest on w końcowej scenie

agonii, lecz wygląda dość niepewnie w scenie koronacyjnej, w której powinien imponować autorytetem i pełną godnością postawą.

Chór stół, jak zwykle w Covent Garden, na wysokości zadania, nawet w najpotężniejszych i najbardziej zawitych partiach chóralnych, jakie istnieją w literaturze operowej. Inni soliści, zwłaszcza David Franklin jako Pimen i Edgar Evans jako młody uzurpator dobrze dostosowują swoje głosy do ciekawej harmonii i dynamiki partytury. Orkiestra pod dyktando dyrygenta opery Covent Garden, Karla Rankla, gra pewnie i ze zrozumieniem. Właszcza instrumenty dęte brzmią pięknie podczas dwóch przedstawień, które widziałem.

Całość jest jednak przede wszystkim dziełem reżysera i jako taką musi być oceniana. Nie ulega wątpliwości, że dzięki „Borysowi” Peter Brook zdobył zupełne zaufanie miłośników opery, stałych bywalców Covent Garden.

English without Tears

SERIES ENTIRELY IN ENGLISH
For the times and lengths of this daily programme for students of English, see under the above heading on page 3. Below are particulars for the week 29th March — 2nd April together with a selection of text. The same programme is repeated throughout the day in all transmissions.

SUNDAY: „Speech and Manners”: I. A. V. P. Elliott of the London University Institute of Education discusses English manners and customs as expressed in speech.
MONDAY: (Elementary) The Right Tense: VIII, The Present Perfect Tense. By A. S. Hornby. (See text below).

Lekcja dwusetna trzecia

THE RIGHT TENSE — VIII

All transmissions Monday, 28th March

This is a lesson about the Present Perfect tense. Listen to some examples.

Since the beginning of February we have given seven lessons on „The Right Tense”.

This is the eighth lesson. Listeners have had seven lessons so far.

We have talked about the Present tenses.

We have talked about Future time. And now you have heard examples of the Present Perfect tense.

Did you notice the verbs in those examples? Have given, have had, have talked, have heard.

The Present Perfect tense is made by using have, or has, with a past participle. Listen to some more examples.

Have you ever been to America?

No, I have never been to America.

Have you ever visited Australia?

Yes, I have visited Australia twice.

In the questions which I asked, you heard the word ever. What did the word ever mean in those questions?

In those questions, ever meant: „at any time up to now”; „at any time up to the present”.

Now or the present. That's why we call this tense „Present Perfect”. We are thinking about time up to the present, up to now.

What did I say in my answers? Listen again.

Have you ever been to America?

No, I have never been to America. Never, at no time up to now.

Perhaps you will go there some time in the future.

Listen to the second question again.

Have you ever visited Australia?

Yes, I have visited Australia twice.

That means two visits to Australia, from the time you began to travel until now.

Again there is the idea of now, the present time.

In these questions and answers you did not hear any adverb of past time. Remember that, listeners.

The Present Perfect tense is not used with adverbs of past time. Please ask that question about Australia again.

Have you ever been to Australia?

Yes, I have visited Australia twice. I went there in 1937. I visited Australia again last year.

Did listeners notice the change of tense? In the first sentence you heard the Present Perfect tense.

I have visited Australia twice.

In the next sentence there were the words in 1937. An adverb phrase of past time.

I went there in 1937.

Went, Past tense. And in the third sentence, too there was an adverb phrase of past time: the words last year.

I visited Australia again last year. Past tense again. Listen to another example.

Have you made plans for the Easter holidays yet?

No, I haven't even thought about them yet.

What was the adverb?

The adverb yet. What does that word mean?

Have you made plans yet? That means so far, up to now.

Up to now. Present time again.

That's the most important idea for you to remember, listeners. The Present Perfect tense always contains an idea of present time. Think of the word now.

TUESDAY: (Elementary) „Buying Postcards”. Conversation drill on a practical theme.
WEDNESDAY: (Elementary) „It's Perfectly True”: a well-known story by Hagen Andersen, retold in simple English.
THURSDAY: (Advanced) „Brown Family” conversation. (See text below).
FRIDAY: (Advanced) English Intonation Practice: VIII, Eighth and last of a series of exercises in the use of the commonest English intonation patterns, by J. Desmond O'Connor, Lecturer in Phonetics in the University of London.
SATURDAY: (Advanced) Answers to Listeners' Questions.

Właściwy czas — VIII

Oto lekcja o tzw. czasie. Present Perfect — (przeszłym złożonym).

Posłuchajcie kilku przykładów. Od początku lutego nadaliśmy (we have given) siedem lekcji o „właściwym czasie”.

Oto lekcja ósma. Słuchacze mieli (have had) dotąd siedem lekcji.

Mówiliśmy (we have talked) o czasach teraźniejszych.

Mówiliśmy o czasie przyszłym. A teraz usłyszycie (you have heard) przykłady tzw. czasu Present Perfect — przeszłego złożonego.

Czy zauważyliście czasowniki w tych przykładach? Have given, have had, have talked, have heard.

Czas przeszły złożony — Present Perfect — tworzy się używając have albo has wraz z imiesłowem czasu przeszłego. Posłuchajcie kilku przykładów więcej.

Czy byliście (have you been) kiedykolwiek w Ameryce?

Nie, ja nigdy nie byłem w Ameryce.

Czy zwiedziłeś kiedykolwiek Australię?

Tak, dwukrotnie zwiedziłem Australię.

W pytaniach, które postawiłem, słyszeliście słowo ever — kiedykolwiek. Co w tych pytaniach znaczy słowo ever?

W tych pytaniach ever znaczyło: „kiedykolwiek aż do teraz”, „w jakimkolwiek czasie, aż do teraźniejszości”. Teraz albo teraźniejszość.

Oto dlaczego nazywamy ten czas „Present Perfect”. Mysłimy o czasie aż do teraźniejszości, aż do teraz.

Czy powiedziałem w moich odpowiedziach? Posłuchajcie znowu.

Czy byliście kiedykolwiek (have you ever been) w Ameryce?

Nie nigdy nie byłem w Ameryce. Nigdy — w żadnym czasie aż do teraz.

Może pojedziesz tam kiedyś w przyszłości.

Posłuchajcie znowu drugiego pytania.

Czy zwiedzałeś kiedykolwiek Australię?

Tak, zwiedzałem Australię dwukrotnie.

To oznacza dwie podróże do Australii od czasu kiedy zacząłeś podróżować, aż do teraz.

Znowu jest pojęcie „teraz”, pojęcie teraźniejszości.

W tych pytaniach i odpowiedziach nie słyszeliście żadnego przymiotnika czasu przeszłego. Pamiętajcie o tym słuchacze.

Present Perfect nie łączy się z przymiotnikami czasu przeszłego. Proszę powtórzyć to pytanie o Australię.

Czy byliście kiedykolwiek w Australii?

Tak, zwiedzałem (I have visited) Australię dwukrotnie. Potemnatem tam w 1937 r. Powtórnie zwiedziłem Australię w zeszłym roku.

Czy zauważyliście słuchacze zmianę czasu? W pierwszym zdaniu słyszeliście czas Present Perfect. Zwiedzałem (I have visited) Australię dwukrotnie.

W następnym zdaniu były słowa: w 1937 r. Zdanie przysłówkowe czasu przeszłego.

Pojechałem (I went) tam w 1937 r. Pojechałem, czas przeszły. A w trzecim zdaniu także było zdanie przysłówkowe czasu przeszłego: słowa zeszłego roku. Zwiedziłem Australię ponownie zeszłego roku. Znowu czas przeszły. Posłuchajcie innego przykładu.

Czy zrobiliście już plany co do wakacji wiośnowych?

Nie, jeszcze nawet o nich nie pomyślałem.

Jaki był przysówek?

Przysówek „yet”, — już, jeszcze. Co to słowo oznacza?

Czy zrobiliście już plany. To znaczy dotychczas, aż do teraz.

Aż do teraz. Znowu. Czas teraźniejszy.

To jest ten najważniejszy punkt do zapamiętania słuchacze Present Perfect — czas przeszły złożony — zawsze zawiera pojęcie czasu teraźniejszego. Pamiętaj o słowie teraz.

And now, listeners, here is an exercise for you. We want you to listen to these questions and then answer them.

A teraz słuchacze, oto ćwiczenie dla was. Chcemy abyście posłuchali tych pytań, a następnie odpowiedzieli na nie.

Ćwiczenie podajemy po angielsku

Uwaga: Poprawne zdania będą podane w audycji.

Exercise

1. Have airmen ever crossed the Pacific Ocean? (Use often).
2. Have airmen ever flown to the moon yet? (Use no).
3. Has Mr. Brown ever been to America? (Use never).
4. Have we nearly finished this lesson?
5. Which tense has this lesson been about?

NOTE: The correct sentences will be given in the broadcast.

Lekcja dwusetna czwarta

A VISIT TO THE DISCOVERY

All transmissions Thursday, 31st March

JOHN: (Reading) „R.R.S. Discovery, built for the nation's Antarctic Expedition, 1901—1904”. What does „R.R.S.” stand for, Dad?

MR. BROWN: „Royal Research Ship”, I think John. Shall we go aboard?

JOHN: Yes, Dad. What a good thing I came in my uniform. The notice says Boy Scouts can get in free.

MR. BROWN: Yes, John. That's because the Discovery belongs to the Boy Scouts' Association now.

MARY: Are we going to go over this nice little bridge, Daddy?

MR. BROWN: Yes, Mary.

MARY: What fun!

JOHN: Come on then, down these steps. Now we're aboard. Think of it, Mary. We're aboard Captain Scott's very own Discovery.

MARY: Yes, think of it, Daddy. We're standing in the very ship in which he went to the South Pole.

MR. BROWN: Yes, Mary, but he didn't find the South Pole with the Discovery, you know. He nearly did.

JOHN: But Amundsen got there first, didn't he, Dad?

MR. BROWN: Yes. And when Scott actually reached the Pole his ship was the Terra Nova.

MARY: So this isn't the ship we saw in the picture last night, Daddy?

MR. BROWN: No, Mary. That was the Terra Nova. That's right, isn't it, officer?

OFFICER: That right, sir. That is, if you're talking about the film „Scott of the Antarctic”. Now perhaps you'd like to have a look at the museum first, sir, and explore the rest of the ship later.

MR. BROWN: That's a good idea. Is this the way?

OFFICER: Yes, straight forward, sir.

MARY: Oh, John! Look at this lovely little model.

MR. BROWN: Now, isn't that interesting? That's a model of the Terra Nova, caught in the ice, and there are the huts of the expedition. I must say that's a very good piece of work.

JOHN: Dad! Here are the first Polar stamps. Oh, I wish I could have one of these for my collection.

MR. BROWN: Yes, they must be worth something.

MARY: And here's a book, Daddy.

MR. BROWN: Yes. „Gulliver's Travels” by Jonathan Swift — copy taken by Captain Scott to the South Pole”. So that's what he used to read during those long arctic winters. Now shall we go and look at the rest of the ship?

JOHN: Yes, let's.

MR. BROWN: Can we go anywhere we like, officer?

OFFICER: Anywhere at all, sir except through a few of the doors you'll see marked „private”.

MR. BROWN: You use her as a training ship now, don't you?

OFFICER: Yes, we have training weeks for Sea Scouts every now and again. We teach them the elements of seamanship.

MR. BROWN: Do the boys go on to be sailors?

OFFICER: Some of them do, sir. They can join the Royal Navy or the Merchant Navy, but they're not obliged to.

Zwiedzanie statku Discovery

JAN: (czytając) „K.S.B. Discovery zbudowany dla narodowej ekspedycji na biegun południowy 1901—1904”. Co oznacza „K.S.B.” tatuśku?

P. BROWN: Sądze Janie, że „Królewski Statek Badawczy”. Czy pójdziemy na pokład?

JAN: Tak, tatuśku. Jak to dobrze, że przyszedłem w moim mundurze. Ogłoszenie brzmi, że skauci mogą wejść za darmo.

P. BROWN: Tak, Janie. To dlatego, że „Discovery” należy teraz do Związku Skautów.

MARYSIA: Czy przejdziemy przez ten ładny mały mostek tatuśku?

P. BROWN: Tak, Marysiu.

MARYSIA: Co za zabawa!

JAN: Chodźcie zatem w dół po tych stopniach. A teraz jesteśmy na pokładzie. Pomyśl o tym Marysiu. Jesteśmy na pokładzie „Discovery” statku należącego do kapitana Scotta.

MARYSIA: Tak, pomyśl o tym tatuśku. Stoimy na statku, na którym popłynął on do bieguna południowego.

P. BROWN: Tak, Marysiu ale wiesz, on nie odkrył bieguna pld na „Discovery”, ale prawie, że to zrobił.

JAN: Ale Amundsen przybył tam pierwszy, czyż nie tatuśku?

P. BROWN: Tak, a kiedy Scott naprawdę dotarł do bieguna, płynął na okręcie Terra Nova.

MARYSIA: Tak, więc to nie jest okręt, który oglądaliśmy wczoraj wieczór na filmie tatuśku?

P. BROWN: Nie, Marysiu, to był Terra Nova. Zgadza się nieprawdaż, proszę pana? (panie oficerze)

OFFICER: Tak jest proszę pana. To znaczy, jeśli pan mówi o filmie „Scott i Biegun Południowy”. A teraz może zobaczalby na pokładzie najpierw muzeum, a później zwiedzić resztę statku.

P. BROWN: To dobra myśl! Czy tędy droga?

OFFICER: Tak, proszę pana, proszę pana.

MARYSIA: Oh Janie, spójrz na ten śliczny mały model.

P. BROWN: Otóż, czy nie jest to ciekawe? To jest model okrętu Terra Nova skutego lodami, a tu są baraki ekspedycji. Muszę stwierdzić, że to jest bardzo dobra robota.

JAN: Tatuśku! Tutaj są to pierwsze polarne znaczki. Oh, chciałbym mieć jeden z nich do mojego zbioru.

P. BROWN: Tak, one muszą być coś warte.

MARYSIA: A tutaj jest książka, tatuśku.

P. BROWN: Tak, „Podróż Gullivera” Jonathana Swifta — ostatecznie zabrany przez kapitana Scotta do bieguna południowego”. Więc to właśnie zwiłki był czytać w czasie tych długich zim podbiegunowych...

A teraz czy pójdziemy oglądać resztę statku?

JAN: Tak, chodźmy.

P. BROWN: Czy możemy chodzić wszędzie gdzie chcemy, proszę pana? (oficerze?)

OFFICER: Wszędzie proszę pana z wyjątkiem paru drzwi, na których jest napisane „prywatne”.

P. BROWN: Używacie go teraz jako statku ćwiczebnego, czyż nie?

OFFICER: Tak, od czasu do czasu mamy kilkutygodniowe ćwiczenia dla skautów morskich. Uczymy ich podstaw rzemiosła morskiego.

P. BROWN: Czy ci chłopcy zostaną marynarzami?

OFFICER: Niektórzy z nich proszę pana. Mogą wstąpić do Marynarki Królewskiej, albo Handlowej, ale nie są zobowiązani do tego.

KACIK Anglisty

Poniżej podajemy szereg idiomatycznych wyrażen, w których użyto nazw owoców.

Apple.

The apple of one's eye — the most treasured possession. His daughter is the apple of his eye.

Apple-pie order — in perfect order.

She made her presence felt and soon everything in the house was in apple-pie order.

To get to the core of something — to investigate thoroughly.

It took a long time to get to the core of the affair, but eventually the culprit was discovered.

Fig.

A fig — a very small quantity.

I don't care a fig for his opinion.

Grape.

Sour grapes — symbolic of bitterness and disappointment. You don't want to win the prize eh! I think it is a case of sour grapes. You say you don't want to because you know you can't.

Juice.

Juice: a) Petrol. I must get some juice for my bus.

b) Electricity. These 100 watt lamps use a lot of juice.

Nut.

In a nutshell — in brief.

This is the story in a nutshell.

Chestnut — an old joke.

Every Christmas Grandfather tells his chestnuts and we all have to laugh.

Chestnut — a horse of chestnut colour.

This morning I saw two ladies together both riding chestnuts.

For nuts — at all. You can't sing for nuts.

Nut — head. The door is very low: mind your nut.

Peach.

A peach — anything beautiful — especially a girl.

I say! Look at that girl! Isn't she a peach? My sister has bought a peach of an evening gown.

Plum.

A plum — a good thing.

He is very careful to keep all the plums for himself and the rest of us get what's left, if anything.

JOHN: Do you only have Sea Scouts? Can't ordinary Scouts come?

OFFICER: We only have Sea Scouts for training weeks, but any Boy Scout can use the Discovery as a hostel for a night or two. We often put up boys from overseas.

MR. BROWN: Do you, indeed? Well, thank you, officer I must say she's a stout little craft.

OFFICER: She is that, sir. Up in the bows, she's eleven feet thick with a steel covering for cutting through the ice.

JOHN: Dad! I wish I could join the Sea Scouts so that I could come and live here for a week.

MR. BROWN: I dare say you do, John. I almost wish I could join the Sea Scouts myself.

JAN: Czy pan ma tylko skautów morskich? Czy nie mogą przyjść zwykli skauci?

OFFICER: Mamy tylko skautów morskich w czasie ćwiczeń, ale każdy skaut może spędzić jako gość w statku jeden, lub dwa dni. Często dajemy nocleg cudzoziemcom.

P. BROWN: Rzeczywiście, robi to pan? A zatem dziękuję panu (oficerze). Muszę stwierdzić, że to jest mocny mały statek.

OFFICER: Istotnie jest tak, proszę pana. Dziób statku ma 3,30 m grubości i pokryty jest stalą, aby mógł przecinać lód.

JAN: Tatuśku! Chciałbym wstąpić do skautów morskich abym mógł przyjść tu i mieszkać przez tydzień.

P. BROWN: Sądze, że chciałbyś Janie, nieomal sam chciałbym wstąpić do skautów morskich.

MAX ROBERTSON

ZJAZD GWIAZDZISTY DO MONTE CARLO



Tego roku aż 13 państw zgłosiło swój udział w tym ciekawym wyścigu wytrzymałości. Ogółem w zawodach zwanych „Gwiazdzistym Zjazdem do Monte Carlo” startowało 207 wozów.

W ciągu kilku godzin po zamknięciu zawodów sprawa wyników przedstawiała się dość niepewnie. W końcu jednak ogłoszono listę zwycięzców. Byli nimi: 1 klasa, 1 miejsce — Trevoux i Lesurgue (Francja) na maszynie Hetchkiss; 2 miejsce: Worms i Mouche (Francja), także na Hotchkissie; 3 miejsce: Dobry i Treybal (Czechosłowacja) na brytyjskim Bristolu, oraz Potter (W. Brytania) na Allardzie — 4 miejsce. W. Brytania zdobyła poza tym 5 miejsce (Wharton) na Fordzie i 9 miejsce (Godsal) na Allardzie.

Raid do Monte Carlo nie jest wyścigiem. Jest to próba wytrzymałości i sprawności zarówno wozów, jak i ich załóg. Pomysł urządzenia tego rodzaju zawodów powstał w r. 1911. Inicjatywa wyszła od przyjaciela Antoniego Noghesa (ten ostatni jest obecnie prezesem Międzynarodowego Klubu Sportowego w Monako), który właśnie organizuje raidy gwiazdziste. Zwrócił on mianowicie uwagę na popularność, jaką cieszą się szosowe wyścigi kolarskie i stwierdził, że zorganizowanie podobnych zawodów samochodowych może stać się dla wytwórców zachętą do przyspieszenia rozwoju przemysłu motorowego. Zaproponował więc urządzenie zjazdu automobilowego, który byłby prawdziwą próbą wytrzymałości i sprawności wozów.

Zawody te przyjęły się i mają już dzisiaj za sobą bogatą tradycję. Startować w nich mogą maszyny dowolnej budowy i wielkości. Maszyny dzieli się jednak ogólnie na 4 klasy. Zwycięstwo w I klasie może uzyskać każdy samochód. Druga klasa jest dla maszyn o pojemności 1100 i 1500 cm³, trzecia dla maszyn o pojemności 750 i 1100 cm³, czwarta zaś dla samochodów mających pojemność cylindra niższą niż 750 cm³. W roku obecnym udział swój w zawodach zgłoszyły następujące państwa: Belgia, W. Brytania, Czecho-

łowacja, Dania, Francja, Finlandia, Włochy, Monako, Norwegia, Portugalia, Hiszpania, Szwecja i Turcja. 207 wozów wystartowało do zjazdu z siedmiu miejscowości: Florencia (4), Glasgow (47), Lizbona (26), Monte Carlo (79), Oslo (4), Sztokholm (45), Praga (2).

Pierwsza część raidu polegała na podróży do Monte Carlo. Wszystkie wozy mają pokryć równą przestrzeń około 3.000 km. Na załączonej mapce zaznaczyliśmy grubymi strzałkami dystans, jaki pokryły te samochody, które startowały z Monte Carlo. Inni kierowcy wjechali na tę trasę w odpowiednich punktach i przejechali jej większą lub mniejszą część zależnie od przestrzeni, jaką przebyli już poprzednio od chwili wystartowania z rodzinnej miejscowości.

Każdy kierowca wystartował z ilością 1000 punktów na swym koncie. Za niezameldowanie się podczas podróży w odpowiednim czasie na stacjach kontrolnych rozmieszczonych wzdłuż trasy — skreślano się kierowcom pewną ilość punktów. Stacje kontrolne znajdowały się prawie co 200 km i kierowcy obowiązani byli meldować się tam w określonych odcinkach czasu. Przeciętna szybkość, na której podstawie obliczono te odcinki czasu, wynosiła pomiędzy 50 km/godz a 65 km/godz. Szybkość ta wydawać się może niska. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że nie odlicza się czasu na posiłki, odpoczynek i naprawy. Dla mniejszych wozów są to więc bardzo trudne warunki. Od każdej minuty spóźnienia lub zawczesnego przybycia na stację kontrolną odlicza się zawodnikowi jeden punkt.

Zawodnicy, którzy przed wojną brali udział w raidach do Monte Carlo stwierdzili zgodnie, że obecny raid należał do najlepszych i najłatwiejszych.

Z 207 wozów startujących, zaledwie 40 nie doszło do Monte Carlo. Na pomyślny przebieg raidu wpłynęła doskonała pogoda, drugim zaś czynnikiem była prawdopodobnie poprawa jakości wozów. Na większości odcinków trasy panowała pogoda wprost cudowna. Jednakże

w okolicy Lyonu natrafili zawodnicy na obszar mgły, zaś startujący z Oslo i ze Sztokholmu narzekali na oblodzenie trasy i śnieg. Na innych odcinkach trudności tego rodzaju były minimalne.

Maszyny, które wychodziły ze startu co minutę, przybyły do Monte Carlo w czwartek 27 stycznia. Ogólny ich stan i stan silników sprawdzono natychmiast i odliczono punkty za wszelkie defekty. Silniki następnie opieczetowano, tak aby nie można już było przeprowadzić w nich żadnych napraw przed rozpoczęciem drugiej części raidu: zawodów eliminacyjnych, które miały się odbyć dnia następnego.

Zawody te składały się z trzech okrążeń górskiej trasy, długości 17,5 km. Trasa podzielona była na trzy części. Pierwsza i druga liczyły po 3,25 km długości, trzecia zaś 10 km. Drugi z tych trzech etapów był najtrudniejszy do przebycia. Pierwsze okrążenie — to właściwie rekonesans. Kierowca poznaje podczas niej trudności trasy na pierwszych dwóch etapach. Za drugim razem musi się jechać jak najszybciej, przy czym należy przebyć dwa pierwsze etapy z jednakową szybkością i czas ten powtórzyć na trzecim okrążeniu. Był to ciężki orzech do zgryzienia. Kierowcy tracili tu znacznie więcej punktów, niż podczas podróży do Monte Carlo.

Trudności powodował jedynie regularny jazd. Sama bowiem trasa przedstawiała się wspaniale i była niezwykle interesująca dla zręcznych kierowców. Wiraże były ostre, lecz większość kierowców brała je z dużą szybkością gładko wyrównując tempo.

8 maszyn nie ukończyło okrążeń. Obyło się jednak bez wypadków, chociaż zaistniały pewne trudności w podróży do Monte Carlo. Chiron np. — automobilista z Monako na ostatnim etapie: Grasse—Monte Carlo natrafił nagle na zamkniętą rampę na skrzyżowaniu dróg. Stracił więc parę minut, które nadrobić musiał pędząc potem po górskich drogach, by na czas zająć na punkcie kontrolnym.

Donald Healey z W. Brytanii, zwycięzca raidu w 1931 r. i zwycięzca II klasy raidu w r. 1934, startował w bieżącym sezonie z Florencji. Wśród gęstej mgły na jednym z odcinków trasy szosę zatarasowało mu sześć aut ciężarowych, które właśnie uległy wypadkowi. Droga była zablokowana przez przeszło godzinę i to przekreśliło szanse Healey'a. Wycofał się więc z raidu. C. Lahaye i R. Quatresous — znani automobilści francuscy, którzy w roku 1935 zdobyli jedną z nagród w raidzie, rozbili się na swym Renaultcie i wycofali się również.

Odbywał się bowiem przegląd maszyn w ramach konkursu (wchodzącego w skład raidowych konkurencji) na najbardziej komfortowy samochód. Tymczasem sędziowie robili bilans zawodów — skomplikowana to i żmudna praca. Z biegiem czasu wzrastało napięcie wśród kierowców oczekujących na

wyniki. Kto wygrał raid do Monte Carlo?

W pierwszej dwudziestce znalazło się 7 zespołów francuskich i 5 brytyjskich. Francuz Rosier był pierwszy w III klasie wozów, para holenderska: Gatsonides i Barendregt wygrała w klasie II. Puchar pań zdobyła hrabina Van Limburg Stirum van Vredenburg. Na drugim miejscu w tej klasie znalazła się Brytyjka, Wisdom. Konkurs na najbardziej komfortowy i wyposażony w najlepszy silnik wóz, wygrał natomiast samochód Bentley należący do Mike'a Coopera.

Wozy brytyjskie zwyciężyły w przeszłości w trzech raidach do Monte Carlo. W tym roku w raidzie wzięły udział maszyny brytyjskie następujących firm: Morris, Austin, Ford, Vauxhall, Standard, Hillman, A. C. Allard, Sunbeam, Talbot, Bristol, Healey, Jaguar, Jowett, Alvis, Rolls — Bentley, Lagonda, Riley i Triumph.

WILLIAM WINTER

MIĘDZYNARODOWY TURNIEJ SZACHOWY JUNIORÓW

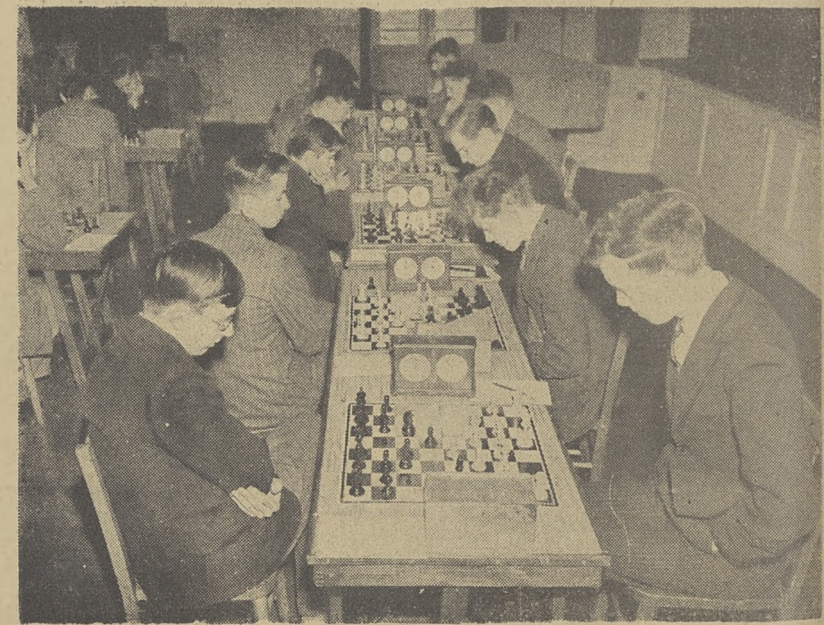
W przemysłowym mieście Birmingham, w Anglii środkowej, odbył się ostatnio międzynarodowy turniej szachowy dla graczy, liczących poniżej 18 lat. Nie stał się jednak wydarzeniem na taką skalę, jaką chcieli mu nadać organizatorzy. Jonathan Penrose, fenomenalny szachista — junior Anglii nie mógł wziąć udziału w zawodach ze względu na egzaminy w szkole. Z zagranicy przybyli jedynie gracze belgijscy i holenderscy. Na wakujące miejsca dobrać musiano wobec tego dwóch miejscowych chłopców, którzy nie brali jeszcze udziału w większych zawodach.

Na czele zespołu brytyjskich juniorów, którzy wzięli udział w turnieju, wymienić należy D. G. Horsemana — obecnego mistrza juniorów W. Brytanii i wicemistrza P. Harris. Horseman przeziębził się niestety zaraz na początku turnieju, co wpłynęło osłabiająco na jego grę w pierwszych rundach. Za to Harris był w świetnej formie. Wygrał 4½ z pierwszych rozegranych 5 spotkań. J. Alexander, mistrz juniorów Birminghamu, uzyskał taką samą punktację, zawdzięczał to jednak szczęściu w partii z jednym z dokooptowanych chłopców, F. R. Grove'em, który „przegapił” szereg korzystnych sytuacji w toku gry, a później błędnie rozegrał

zbyt późno odzyskał swą formę, stosunek punktowy między Horsemanem a Harrisem wyrównał się.

W ostatniej rundzie Bouwmeester łatwo wygrał z Belgiem — Booe'em. Holender miał coraz większe szanse, gdyż Harris nie mógł dość długo rozwiązać partii z Grove'em. Ostatecznie jednak większe doświadczenie zrobiło swoje i Harris odniósł zasłużone i piękne zwycięstwo, uzyskując 7½ punkta w puli finałowej na 9 możliwych. Alexander był trzeci z różnicą zaledwie 1½ punkta, zaś Horseman z 5 punktami również znalazł się na liście nagrodzonych.

Biorąc ogólnie, poziom gry chłopców był wysoki. Harris wykazał się znajomością zasad gry kombinacyjnej i chociaż partie jego nie wypadły błyskotliwie, przeprowadzone jednak były konsekwentnie z widocznym dążeniem do uzyskania zamierzonego rozwiązania. W przeciwieństwie do innych chłopców Harris kładł nacisk na końcówkę, co pozwalało mu na wykorzystywanie przewagi pozycyjnej. Alexander, który brał już nie tylko udział w rozgrywkach juniorów, lecz także ma duże doświadczenie, zdobyte na turniejach ligi birminghamskiej, to gracz dysponujący poważną wiedzą szachową. Jest jednak zbyt ostrożny i nie wykazuje ta-



Juniorzy staczają bój o pierwszeństwo.

kończówkę z pionami, którą można było zakończyć remisem.

W tym stadium turnieju najmniej bezpiecznym z zagranicznych zawodników wydawał się Bouwmeester z Holandii, gracz wysoko klasyfikowany w swym rodzinnym kraju. Wykazał on dośkonale przygotowanie teoretyczne. Grał jednakże nieco nerwowo i zbyt ostrożnie rozwijał partie. W rezultacie tego przy końcu pierwszych pięciu rund miał na swym koncie 2 zwycięstwa i 3 remisy. Znacznie poprawił później swe szanse bijąc Alexandra, a gdy Harris przegrał w ósmej rundzie partię z Horsemanem, który

kich możliwości rozwoju jak Harris. Spadek formy Horsemana był tylko chwilowy. Gdy wydobrzył on po swym zaziębieniu, grał wielkie, a zwycięstwo nad Harrisem zawdzięcza doskonałemu przeprowadzeniu partii.

Ostatnia partia turnieju rozegrana została przez jednego z najmłodszych szachistów turnieju, R. N. Thomasa. Zwyciężył on Horsemana dzięki doskonałemu przeprowadzonemu atakowi, w czasie którego poświęcił dwa pionki, a partię rozstrzygnął piękną kombinacją. Przy odpowiednim treningu gracz ten może zająć bardzo daleko.